

Wilhelm Szewczyk

X ZJAZD

W Szczecinie odbędzie się kolejny, Dziesiąty Zjazd Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych. Dodajmy, że po raz drugi już zjazd będzie obradować w Szczecinie — po Dusznikach, Katowicach — Świerklanacu, Wrocławiu, Opolu, Zielonej Górze, Poznaniu, Olsztynie i Bydgoszczy. Poprzedni zjazd, jaki odbył się w Szczecinie w roku 1961, obrady swoje poświęcił przede wszystkim tematyce morskiej w literaturze polskiej. Zjazd najbliższy pozwala na rozszerzenie zakresu dyskusji, albowiem tematyka zamówionych nań referatów, jak to było zresztą dotąd w zwyczaju, dotyczyć będzie zarówno ogólnej problematyki literackiej Ziemi Zachodnich i Północnych, jak również zagadnienia niemieckiego, ściśle mówiąc stosunku współczesnej literatury niemieckiej do drugiej wojny światowej.

Gdy przed dziesięcioma laty pisarze ze środowiska wrocławskiego

wystąpili z inicjatywą organizowania corocznych zjazdów, struktura życia literackiego na Ziemiach Zachodnich i Północnych była jeszcze dość wąska. Nawet ośrodek wrocławski zaczynał jak gdyby od nowa — po wyjeździe z tego miasta, przeważnie do stolicy, wybitnych pisarzy, którzy w pierwszym powojennym okresie decydowali o randze Wrocławia w tej dziedzinie twórczej. Już wtedy jednak, to znaczy przed laty dziesięć, uzasadniony był optymizm, z jakim zastanawialiśmy się nad przyszłością środowisk literackich na tych ziemiach. Jeszcze wprawdzie nie wszędzie wkroczył Związek Literatów Polskich ze swą pomocą organizacyjną, ale już wtedy istniały środowiska pisarskie o dużych ambicjach i o pewnych osiągnięciach, o czym przede wszystkim możemy się przekonać z lamów prasy literackiej, powstałej tutaj w latach 1956—57.

Cechą tych środowisk była młodość — młodzi byli pisarze, młode były ich doświadczenia, co nie odbierało im wartości poznawczych, przekazywanych później ich twórczości, przeciwnie, były to doświadczenia ludzi zintegrowanych w rzeczywistości Ziemi Zachodnich i Północnych lub wyrastających z niej w sposób naturalny. Nic też dziwnego, że w twórczości tych pisarzy temat ich ziem ojczystych, temat rozległego Nadodrza, posiadał wartość największą, będąc odkrywa-

niem siebie w danej rzeczywistości oraz odkrywaniem jej uroków. Jej codziennym przejawów kużytkowi wszystkich miłośników polskiej literatury, wszystkich czytających obywateli.

Z tych też przyczyn nurt obywatelski, jak nazwać pragnęlibyśmy pewien rodzaj patriotycznej literatury, nie ograniczającej się jedynie do aproba'y, do opisu rzeczywistości zsympfikowanej, zaczął się tutaj rozwijać spontanicznie, szczególnie na tych terenach, gdzie współżyły z sobą dawne polskie tradycje ludowe z nowymi, naniesionymi tu przez procesy migracyjne. Wspomnijmy dla przykładu choćby tylko powieści Eugeniusza Paukszy, który swoją myślą pisarską przewędrował całe Ziemie Odzyskane, od Śląska poprzez Ziemię Lubuską, jego wielką miłość, po Warmię i Mazury, dodajmy znakomitą twórczość Henryka Worcella wyłącznie poświęcającego swą uwagę tematowi Ziemi Zachodnich, szczególnie wsi dolnośląskiej. Nie zapomnijmy przy okazji o Zbigniewie Zielonce, który jak gdyby odnowił model tak zwanej powieści piastowskiej, dając nam także zbiorowy portret rebelii chłopskiej na Opolszczyźnie. Czym zaś dla literatury Ziemi Zachodnich i Północnych stał się esej czy gawęda literacka, rodzaj literacki w danej sytuacji historycznej niezwykle cenny, o tym niech powiedzą książki Zofii Kosak, Władysława Grabskiego, przede wszystkim zaś fundamentalne w tej dziedzinie osiągnięcie „Spotkania Wrocławskie” Tadeusza Mikulskiego, których kontynuację odnalazć możemy również w twórczości esejstycznej Władysława Ogrodzińskiego, zwłaszcza w jego tonie „W cieniu samotnych wież”.

Nie podejmując się w krótkim artykule trudnego już dziś zadania oceny dorobku literackiego tych ziem, stwierdzić mogę, że reprezentowane są w nim wszystkie niemal rodzaje literackie, z poezją na czele, co stanowi szczególny atrybut młodych literatów, ale co stało się także wartością o znaczeniu bardziej ogólnym dla współczesnej literatury polskiej — poprzez twórczość przede wszystkim Tymoteusza Karpowicza, a także Adolfa Niedworoka czy Heleny Raszki oraz wielu innych.

Dobra rola przypadła w tym rozwoju takim wydawnictwom jak katowicki „Śląsk”, Wydawnictwo Poznańskie, zasłużone Ossolineum czy powstałe z inicjatywy społecznej olsztyńskie „Pojezierze”.

Zjazdy pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych wnosili w życie literackie tych obszarów sporo ożywienia, umożliwiając nie tylko wzajemne kontakty, co w wypadku środowisk młodych ma spore znaczenie, lecz i poważne dyskusje nad problemami żywo te środowiska obchodzącymi, pozwalając wreszcie na liczne spotkania z czytelnikami.

Ale najwyższa ranga tych zjazdów ustanowiona została w sferze politycznej — zresztą dokonano się to w sposób naturalny, albowiem wszelka dyskusja o literaturze Ziemi Zachodnich zaczęła się musi od abecadła politycznego, od określenia miejsca tych ziem w naszej najnowszej historii. Rangę tę podkreślił mocno udział w dyskusjach zjazdowych takich wybitnych polityków polskich i działaczy partyjnych, jak Zenon Kliszko, który uczestniczył w obradach poznańskich, olsztyńskich i bydgoskich, czy jak Edward Gierek, który wygłosił referat na zjeździe katowicko-świerklanieckim.

Dziesiąty, szczeciński zjazd nie dokonał jakiegoś podsumowania dotychczasowych wyników zjazdowych, zresztą można się z nim zaznajomić z kilku książek, zawierających protokoły zjazdowe lub przynajmniej ich główne referaty. Być może nawet, że po zjeździe szczecińskim nastąpi jakaś reorganizacja dotychczasowych form współpracy poszczególnych środowisk literackich tych ziem. Faktem jest — i o tym mówimy nam również zjazdy — że Ziemi Zachodnie i Północne mają swoje własne, niezwykle różnicowane życie literackie, że ich pisarze uczestniczą w ogólnym procesie rozwojowym naszej literatury, że dali jej już sporo wybitnych dzieł, których znaczenie polega nie tylko na tym, iż pojawiają się w nich konkrety historycznej lub współczesnej rzeczywistości tych ziem, lecz także i na tym, że powstawały one właśnie tutaj, znajdując tu swoich czytelników, krytyków, swoje miejsce niepoślednie w krajobrazie duchowym całego Nadodrza oraz Ziemi Warmińsko-Mazurskiej.

LAUREACI NAGRÓD WRN

Jak już donosiliśmy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie przyznało na wniosek Komisji Kultury Sportu i Turystyki nagrody Wojewódzkiej Rady Narodowej za rok 1967, za upowszechnianie kultury. Stało się więc zadość już przeszło 10-letniej, dobrej tradycji. Te nagrody bowiem mają już zasłużoną rangę i stanowią chlubne wyróżnienie dla działaczy i pracowników kultury Rzeszowszczyzny. W roku bieżącym przyznano jedną nagrodę zbiorową i 10 indywidualnych za różnorodne formy działalności kulturalnej. Oto sylwetki laureatów nagrody:

IRENEUSZ WALCZYK ERWAN. Pracuje już od roku 1922 na scenach Polski południowej (Lwów, Katowice, Sosnowiec). Zawsze mocno był związany z amatorskim ruchem teatralnym robotników. Po wojnie nie tylko występował jako aktor, często w rolach wiodących, lecz również reżyserował wiele spektakli. W jego drodze artystycznej jeden z głównych etapów stanowiła praca w Państw. Teatrze im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie. Grał tu główne role w takich m. in. sztukach, jak „Grzech” Stefana Żeromskiego, „Mieszczanie” Gorkiego, „Głupi Jakub” Rittnera, „Dożywcio” Fredry i w wielu dramatach współczesnych. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

WŁADYSŁAW SZWAJA — inżynier, architekt, a równocześnie satyryk — autor wielu tekstów estradowych dla amatorskich zespołów artystycznych. Jest przewodniczącym samorządu Teatru Słowa „Meluzyna” przy WSK w Rzeszowie i współtwórcą wielu jej sukcesów na festiwalach ogólnopolskich. W środowisku rzeszowskim Władysław Szwaja jest najbardziej znany jako autor corocznych „Rzeszowskich Szopek Satyrycznych”. Jest także twórcą jubileuszowego programu na 600-lecie Jasła i programu estradowego dla uzdrowiska w Iwoniu — Zdroju. ZDK WSK zawdzięcza mu jako członkowi rady społecznej wiele inicjatyw i poczynań artystycznych.

FRANCISZEK BURATOWSKI — aktor Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie. Pracę w teatrze rozpoczął już w roku 1938 występując na scenach teatrów w Krakowie, Katowicach, Wrocławiu, Nowej Hucie i Opolu. W teatrze rzeszowskim wystąpił w 22 rolach i stworzył szereg interesujących postaci scenicznych podnosząc dzięki talentowi i rzetelnemu rzemiosłu aktorskiemu poziom artystyczny rzeszowskiej sceny. Jest również wieloletnim członkiem Zarządu SPATIF-u i bierze czynny udział w pracach społecznych.

ZDZISŁAW OSTROWSKI — artysta plastyk — przybył do Rzeszowa jako członek znanej grupy XIV. Brał aktywny udział w pracach Zarządu Okręgu ZPAP w Rzeszowie, pełniąc funkcję wiceprezesa i sekretarza. Jako twórca uczestniczył w wielu wystawach ogólnopolskich i na terenie województwa, m. in. w Ogólnopolskiej Wystawie „Polskie Dzieło Plastyczne w XV-lecie PRL” w Warszawie w 1961 r., w I Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie w 1962 r., w Wystawie 4 województw, w XIV Festiwalu Sztuk Plastycznych w Sopocie 1963 r. i w Ogólnopolskiej Wystawie Młodego Malarstwa — Sopot 1965 r. Zdzisław Ostrowski jest laureatem wielu nagród i wyróżnień na konkursach malarskich. Jego prace znajdują się w zbiorach Ministerstwa Kultury i Sztuki, w zbiorach Muzeum w Łanucie i Muzeum w Majdanku.

JÓZEF ŻMUDA — działacz ruchu amatorskiego, kierownik artystyczny ZDK i reżyser teatru amatorskiego przy Domu Kultury Huty „Stalowa Wola”. Już w roku 1946 zorganizował teatr „Reduta” w Zielonej Górze i był w nim kierownikiem artystycznym i reżyserem. Po 5 latach teatr ten przekształcił się w zawodowy (Teatr Ziemi Lubuskiej). Józef Żmuda występował na jego scenie

BURZLIWE DZIEJE GRAMA RADU

Ulica Marii Skłodowskiej-Curie należy do tych cichych uliczek w Warszawie, gdzie chodzi się na spacer. Zwłaszcza w maju. Kwitną tu drzewa, a wokół małego pomnika Skłodowskiej naprzeciw skwerku, postawionego przez stolicę w 1935 roku, co wiosną sady si kwiaty. Naprzeciw skwerku w latach trzydziestych (dokładnie 35 lat temu), po kilku latach budowy otwarto Instytut Radowy nazwany imieniem naszej wielkiej rodaczki.

Wizyta pani Meloney

Myśl o stworzeniu również w Polsce specjalnego instytutu radowego do walki z chorobami i nowotworami nurtowała Marię Skłodowską-Curie właściwie od chwili, gdy tylko zastosowanie substancji promieniotwórczych zdobyło sobie prawo obywatelstwa w medycynie. Jednakże nie było to zadanie łatwe. Polskie budżety państwowe w latach dwudziestych przeznaczają na służbę zdrowia tak skromne sumy, że trudno było nawet marzyć o poważnej subwencji rządowej na budowę projektowanego instytutu, a tym bardziej — na nabycie drogiego radu.

— I jak to często bywa, z pomocą przyszli przypadki.

Pewnego ranka w laboratorium Skłodowskiej zjawiała się znana dziennikarka amerykańska — Meloney. Pani Meloney jest gorącą wielbiczką Marii Skłodowskiej i od lat dwudziestu marzy o tym, aby uzyskać u niej audiencję. W rozmowie wyjaśniła się ku wielkiemu zdumieniu Amerykanki, że sławna odkrywczyni radu nie osiągnęła żadnych materialnych korzyści ze swego odkrycia.

— Rad — mówi Maria Skłodowska-Curie — jest pierwiastkiem chemicznym i należy do wszystkich.

— Może jest jednak jakaś rzecz na świecie, którą pani Curie pragnęłaby mieć na własność? Było to niedorzeczne pytanie — wspomina w swym pamiętniku dziennikarka — ale okazało się decydujące.

Po powrocie do Ameryki Meloney zakłada „Stowarzyszenie Funduszu Radu Madame Curie”. Po roku gram radu jest do jej dyspozycji. W wigilię uroczystości przekazania kluczyka od szkatuły z radem Skłodow-

ska czyta akt darowizny i oświadcza: „Ten akt trzeba zmienić. Rad ofiarowany przez Amerykę musi należeć do nauki. Jeżeli pozostawimy ten akt w takiej formie, to po mojej śmierci rad stanie się własnością osób prywatnych — moich córek. Czy nie możemy jeszcze dziś znaleźć notariusza?”. Z trudem, ale znaleziono notariusza o tak późnej porze...

Ostatni spacer nad Wisłą

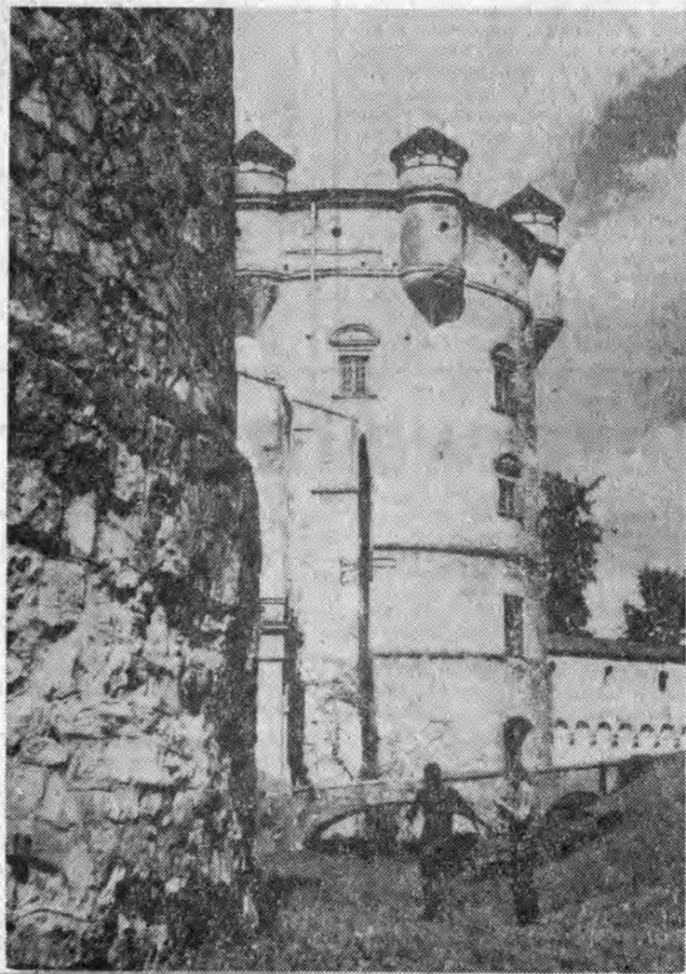
Ale gmachu Instytutu Radowego jeszcze nie ma. Dopiero w cztery lata później zostanie położony kamień węgielny. Jednakże Maria Skłodowska-Curie już wie, że może znów odwołać się do przyjaciół Polscy na całym świecie. Dzięki ich ofiarności w 1930 roku gram radu dla Instytutu Radowego w Warszawie jest zdobyty.

W piękny majowy dzień 1932 roku o godzinie 12 w południe Maria Skłodowska-Curie w otoczeniu rodziny i grona przedstawicieli polskiego świata naukowego unosi wieko skrzynki mahoniowej, w której leżą platynowe ampulki z radem dla polskiej medycyny i nauki. Potem następuje zwiedzanie gmachu o harmonijnych liniach, wielkich oknach, urządzonego według najnowszych wymagań higieny. Wraz z ówczesnym prezydentem sady i ogrodzie 6 drzewek. A w dzień wyjazdu idzie na samotną przechadzkę nad Wisłą. Tego też dnia pisze do córki Ewy: „Jest taka piosenka krakowska o Wiśle... „A kto cię pokochał, nie zapomni w grobie”. Zdaje się, że to prawda. Przynajmniej co do mnie”.

Na parterze gmachu Instytutu zarezerwowano na wizyty Marii Skłodowskiej piękne mieszkanie z widokiem na ogród. Nigdy w nim już nie gościła. O świcie 4 lipca 1934 roku umiera. Sekcja stwierdziła, że istotnym sprawcą jej śmierci był rad.

Szkatka w ogrodzie

Założony przez Marię Skłodowską-Curie Instytut Radowy nabiera z każdym rokiem coraz większego znaczenia w świecie nauki. Gdy na



Kraszycyn — baszta królewska
FOT. J. MENDYCHOWSKI

LAUREACI NAGRÓD WRN

(Ciąg dalszy ze str. 1)

nadał jako asystent reżysera i aktor. Od 1956 roku rozwija działalność w środowisku robotniczym w Stalowej Woli. Jako reżyser teatru ZDK położył duże zasługi dla podniesienia jego poziomu artystycznego i upowszechnienia kultury teatralnej wśród robotników. Na scenie teatru ZDK wystawiał m. in. Mazepę Stowackiego, Cyda Cornella, „Słowo o Jakubie Szeli” Jasińskiego, „Ziemi przypisany” według Kawalca, „Obronę Ksantypy” Morstina oraz „Kolumbów rocznik 20” według Bratnego. Za ten spektakl teatr otrzymał I miejsce na Ogólnopolskim Przeglądzie Związkowych Teatrów Dramatycznych w 1967 r.

MIECZYSLAW WIELICZKO — nauczyciel liceum ogólnokształcącego i działacz oświatowy z Jasła. Przewodniczący Zarz. Pow. TWP w Jasle, współorganizator Uniwersytetów Powszechnych. Wygłasza wiele odczytów o tematyce historyczno-regionalnej. Otrzymał kilka nagród i wyróżnień w konkursach na prace naukowe o tej samej tematyce. Jest autorem około 30 artykułów w czasopiśmie popularnonaukowych oraz napisał przewodnik krajoznawczy „Jasło i okolice”, który ukazał się bieżącego roku. Bierze czynny udział w pracy oświatowej ZNP, PITK, wygłasza prelekcje i przeprowadza konsultacje dla wykładowców szkolenia partyjnego w Ośrodku Propagandy KP PZPR w Jasle.

PROF. DR RUDOLF JAMKA — kierownik Katedry Archeologii Polskiej UJ w Krakowie. Od początku swojej pracy naukowej wiele uwagi poświęcał Rzeszowszczyźnie. Przeprowadził szereg badań archeologicznych (okolice Niska, Tarnobrzeg, Boguchwały, Rzeszycy Długiej) i opublikował wyniki tych badań w artykułach naukowych. Po objęciu Katedry Archeologii Polskiej na UJ w 1949 r. prowadził aż do chwili obecnej ożywioną działalność naukową na terenie Rzeszowszczyzny. Objął w tym czasie opiekę naukową nad rzeszowskim ośrodkiem archeologicznym, a także opublikował wiele prac naukowych podsumowujących wyniki badań tego ośrodka. Owocem kilkudziesięcioletnich badań naukowych prof. Rudolfa Jamki jest żywe zainteresowanie naukowców Rzeszowszczyzną i powstanie w Rzeszowie silnego ośrodka archeologicznego.

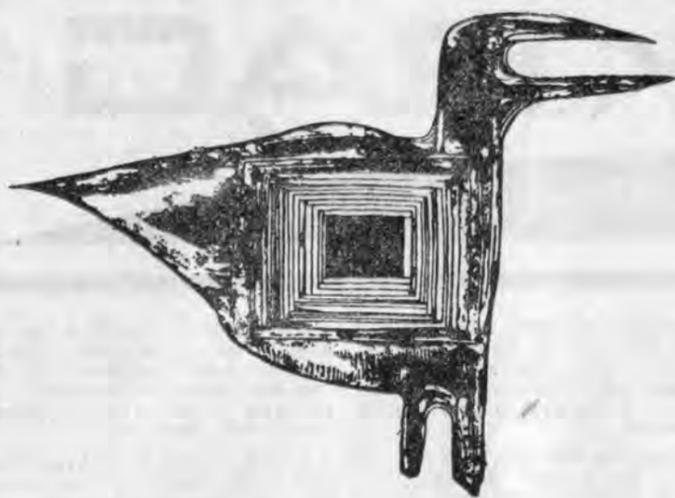
JAN RÓŻAŃSKI — cenny badacz kultury ludowej i regionalnych militariów z Przemysła. Autor lub współautor prac: „Tysiąc lat Przemysła”, „Ziemia Przemyska”, „Przemysł i okolice” i „Twierdza Przemysł”. W druku i w stadium przygotowań do publikacji ma Różański jeszcze kilka opracowań popularnonaukowych. (Niedawno w „Widnokragu” ukazał się sylwetkę tego laureata).

DAMAZY KWIAKOWSKI — reporter Telewizji i CAF. W czasie swej pracy w Rzeszowie (od 1961 r.) dał się poznać jako dziennikarz zaangażowany w najistotniejszą problematykę polityczną, gospodarczą, kulturalną i społeczną województwa. Przygotowane przez niego programy dla Telewizji są autentyczne, sugestywne i przekonujące. Daje łącznie co roku około 26 godzin filmu telewizyjnego. Ponadto jako reporter CAF popularyzuje Rzeszowszczyznę swoimi zdjęciami, które zamieszcza większość dzienników w kraju.

TADEUSZ SOKÓŁ — dziennikarz Rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie. W Rzeszowie znany jest z aktywności dziennikarskiej (cykl radiowy „Ludzie i marzenia”, reportaże z pracy k.o.) oraz z działalności literackiej. Tadeusz Sokół jest także poetą — autorem dwóch tomików poezji („Pocisk i lira”, „Podróż do siebie”). Pełni funkcję prezesa Klubu Literackiego w Rzeszowie. Jego aktywna działalność w środowisku literackim przyczyniła się do wzmocnienia tego środowiska i do podjęcia decyzji o zorganizowaniu w Rzeszowie Oddziału Związku Literatów Polskich.

Nagrodę zbiorową przyznano **ZARZĄDOWI ODDZ. WOJEWÓDZ. STOWARZYSZENIA ATEISTÓW I WOLNOMYŚLICIELI** w Rzeszowie. Stowarzyszenie to w ciągu 10 lat prowadzi pracę odczytową w wielu środowiskach. Jego prelegenci wygłaszają około 800 odczytów rocznie na tematy obskurantyzmu i fanatyzmu religijnego w Polsce. Organizowane przez SAIW konferencje popularnonaukowe z udziałem wybitnych naukowców przyczyniły się do laicyzacji życia i kształtowania postaw etycznych w myśl założeń humanizmu socjalistycznego.

opr. J. G.



ZDZISŁAW BEKSIŃSKI — MONOTYPIA

Krystyna Świerczewska

AUTOPORTRETY

Zdzisław Beksiński mieszka w Sanoku i jest z zawodu architektem, a z zamiłowania malarzem. Zarzucał architekturę, bo, powiada, że znalazła się ona w ślepych zaułku; bo przestał dostrzegać funkcjonalność związku architektury z plastyką, a ten go — przyznaje — zawsze najbardziej pasjonował.

O Zdzisławie Beksińskim zaczyna się mówić w kręgach znawców plastyki; coraz liczniejsi krytycy próbują definiować jego twórczość, prawie zupełnie nieznaną szerokiej fali odbiorców, bo nie pokazywaną publicznie. W krytykach tych, miejsce zamieszkania artysty Sanok — miasto, które jest wstępem do Bieszczadów (a Bieszczady to jeszcze nader często żubry i Teksas), jego odcięcie się od środowisk twórczych, zajmują tyleż miejsca, co sama ocena twórczości, którą jednak niełatwo poszukać, nazwać, sklasyfikować. Jemu samemu rzecz chyba najzupełniej obojętna zresztą, jak o nim piszą, bo, nie przejmując się modami ni manierami, stworzył własną i jak dotychczas wygodnie mu z nią współżył.

Malarstwa Beksińskiego opowiedzieć się nie da i rzecz dla Czytelnika byłaby raczej obojętna, nawet gdyby się dało, bo malarstwo trzeba oglądać. Rzeszowski widz zobaczy retrospektywę jego prac w przyszłym roku jesienią i wtedy, ewentualnie byłby sens chwycić się analizy artystycznej. Można natomiast, i chyba warto, opowiedzieć o samym człowieku i poglądach na sztukę przez niego uprawianą jako wstęp do przyszłorocznej wystawy.

W którymś z „Pegazów” Grzegorz Lasoty zaprezentował się rysunek Beksińskiego. Myślę, że był na tyle inny od znanych nam, na tyle szokujący, że wielu go zapamiętało. Słyszeliśmy tam o logice koszmaru, obsesjach erotycznych, lękach wśród czesnego człowieka, zagrzebanego na prowincji a tworzącego na skalę europejską.

Beksiński terminu „obsesje” nie przyjmuje do wiadomości, bo obsesja to monotemat, jego zaś inte-

resuje taka złożoność tematów, że jedynie pobieżność i uprzejmość wobec krytyki, względnie obojętność, nie dyktują mu chęci prostowania niektórych sądów. Drażni go tam, gdzie usiłuje dopatrzeć się przerosłu formy, gdzie analizuje kreskę, światłocień, walor, kompozycję, a sam temat próbuje omijać jako mniej istotny. Wtedy wyjaśnia, że, bynajmniej nie lekceważąc formy, w malarstwie i rysunku szuka treści, posługuje się tą formą, doskonali ją, pracuje nad nią właśnie w imię wszystkiego, co jest konieczne dla przekazania widzowi, co jest filozofia. Sensem tworzenia jest bowiem chęć zewnętrznienia siebie, opowiadania siebie, dzielenia

się z innym człowiekiem własnym niepokojem. Dlatego maluje w nieskończoność autoportrety.

Naturalnie nie w tym najprostszym znaczeniu słowa, bo nie interesuje go ich zewnętrzność czy raczej fabuła zewnętrzności, ale własne wnętrza, które wszak urządzone jest na podobieństwo każdego wnętrza żywego. Dlatego autoportretem będzie i ptak, i kobieta, i każda kóra dziwoląga nawet, w której umieścić myśl — treść.

Lubi dziwaczność, w tym znaczeniu, jakie Francuzi nadali przymiotnikowi bizarre. Uprawia w swoim malarstwie coś w rodzaju science-fiction, którą podziwiał najpierw w literaturze. Sam zresztą też próbował pisać — nie była to wiada sztuka mu sędzona — bo uciekł od niej w świat kreski i koloru. Tu jest mu łatwiej się poruszać, więcej umie powiedzieć, to mu daje przyjemność. A przyjemność, maksymalne zadowolenie z życia — to jego credo.

Dąbrowska napisała „Przygody człowieka myślącego”, mądrą książkę o brzydkim tytule; pasowałby mi ten tytuł do twórczości Beksińskiego. Każdy jego rysunek, obraz jest przygodą, w której koszmarnie miesza się z filozofią, medycyną z estetyką, paranoją z sceptycyzmem. Wywodzi swój rodowód od najkoszmarniejszych — jak powiada — ekspresjonistów niemieckich, podoba mu się wyobraźnia nadrealistów, na podsunięcie przeze mnie paralele z rysunkami Goł o okropnościach wojny też przystaje. Uważa za bliskich sobie zbyt wielu malarzy dawnych i współczesnych, przy tym zupełnie od rębnych artystycznie, by mówić można o jakichkolwiek zapożyczeniach; że wymienię tylko Boscha, Breughela, Margritta, Ernsta, Witkacego, Za chwycają go także rysunki Monsiela, które kiedyś lansował „Przekrój”; ma zresztą w swej tece pokrewne monsielowskiej manierze. Rysunki Monsiela odkrył lekarz-psychiatra; Beksiński widzi paranoję, gdzieś u początków każdej sztuki. Na ile ów oryginalny, choć bynajmniej nienowopogląd jest szczerze przezeń wyznawany, nie podejmuję się sądzić. Ze trapią go jednak związki medycyny ze sztuką, że wiele jego obrazów przywodzi na myśl wyobraźnię

paranoika — to jest chyba bezsporne. Jest wszakże w tym rozpasaniu wyobraźni moment bardzo istotny dla odbiorcy — to groza przejawiona, złagodzona przyzmrueniem oka, dystansem do mrozących krew w żyłach opowieści.

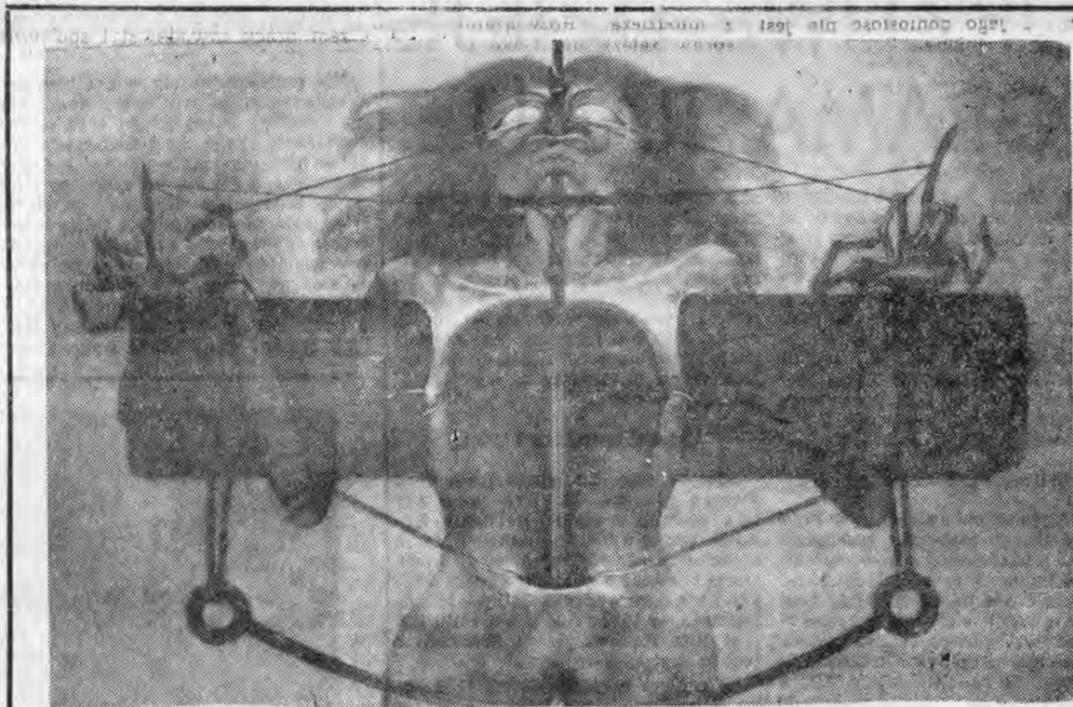
Toteż uśmiechamy się ze zrozumieniem, kiedy mówi, że tworzy sobie takie własne podkowińskie szczy i tańce szkieletów, tyle że bez tej celebry makabry, jaka pociwiwego Podkowińskiego zdołała dzięki ucylnie śmiesznym anachronizmom.

Są w myśleniu Beksińskiego liczne niekonsekwencje, na które z rozbijającą szczerością przystaje, bo przecież w sztuce się mogą zdarzyć. Powiada, że żyje poza rzeczywistością; a przeprowadza wiwisekcję tej rzeczywistości. Powiada, że interesuje się sobą przede wszystkim, a daje syntezę, przekroje psychiczne ludzi. Zna człowieka. Jego wnętrza. Przechwaja jego lęki i sam poddaje się, jak większość zresztą humanistów, lekowi przed światem komputerów — maszyn wyręczających człowieka i pogłębiających jego samotność.

Żyje we własnym świecie. Ma za sobą bardzo niewiele wystaw, bo nie miał czasu zabiegać o nie. Ostatnia wystawa rysunku w Galerii Współczesnej w Warszawie, zakupione przez Muzeum Narodowe, Muzeum Malarstwa Nowoczesnego i inne instytucje, rysunki ułatwiają mu start. Zaczyna myśleć o wyjściu na zewnątrz. Nie wierząc w masowego odbiorcę, wierzy w kilku bodaj, którzy zechcą odebrać właściwie mowę jego intelektu, zamkniętą w obrazie. Inaczej — nie tworzyłby. Nie istnieje jednak potrzeba sztuki na bezludnej wyspie.

I choć wszelkie pozory czynią z małego domku na trasie do Bieszczadów taką bezludną wyspę, zagęszczoną malarstwem, uderzającym człowieka siłą swojej niezwykłości — wyspa zaludnia się, mimo tę trudną niezwykłość — coraz liczniejszą gromadką wyznawców talentu Zdzisława Beksińskiego.

Wzorem rutynowanych konferansjerów, z którymi mam tyle wspólne go, że zapowiadam artystę, którego za rok Czytelnicy poznają w Domu Sztuki, skończyć by wypadało: tego nie wolno Wam nie zobaczyć!



ZDZISŁAW BEKSIŃSKI — RYSUNEK

Burzliwe dzieje grama radu

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Warszawę spadają pierwsze bomby. Instytut ma komplet chorych. Trzy osoby: ówczesny dyrektor Instytutu, prof. Franciszek Łukaszczyk, pani Gerłowska, kierowniczka administracji, i pani Irena Nowożyńska (obecnie sekretarka wydziału lekarskiego) — obliczają niezbędną ilość radu do leczenia kilku przypadków. Reszta radu zostaje w tajemnicy ukryta. Istnieją wersje, że nieżyjący już prof. Łukaszczyk (zmarł z objawami choroby popromiennej) zakopał rad w ogrodzie, przypuszcza się również, że został ukryty w jednym z pomieszczeń Instytutu. Wydzielona do niezbędnego leczenia niewielka część zostaje umieszczona w kasie pancernernej. Wydanie jego opóźnia prof. Łukaszczyk, grając lawiną podań na zwłokę. Pewnego dnia wpada jednak gestapo. Pistolety do skroń, szafa zostaje opieczętowana. Wkrótce powracają w towarzystwie własnego fizyka-radiologa. Zabierają resztkę radu.

Ale Instytut Radowy nadal leczy. Nawet w dniach powstania. Piątego dnia sierpnia ostrzał po oknach zmusza do przeniesienia chorych do suterenu. Po południu wpadają pijani żołdacy. Spędzają cały personel. W trakcie nagonki kilka siostr ginie od kul.

Chory, pozostali w Instytucie, zostali wymordowani.

Chodzimy wolno alejkami parku wśród kwitnących drzew. — Tu — opowiada pani Nowożyńska — mieliśmy kiedyś basen z żółtymi doświadczałnymi. W wodzie, gdy wróciliśmy po wywołaniu Warszawy, znaleźliśmy czepek siostry, która została z chorymi.

BOMBA W BUNKRZE

Gdzieś tutaj, dziś już nikt nie może dokładnie określić miejsca, został odkopany ukryty rad. Drzewa zasadzone przez Marię Skłodowską-Curie wyrosły już pod okna

przeznaczonego dla niej mieszkania. Jednakże sam ogród wiele się zmienił. Nowym akcentem jest np. nieforemny, lecz wielki bunkier, pomalowany „po picasowsku”, a przylegający do parteru Instytutu. Mieści się w nim tzw. „bomba kobaltowa”. Podobne bomby mamy już w kilku innych ośrodkach w Polsce. Jednakże urządzeń do leczenia promieniami o wysokich energiach jest ciągle jeszcze za mało. Cóż — megawoltowa terapia jest szalenie kosztowna: jeden tzw. betatron kosztuje 250 tys. dolarów.

W mieszkaniu, w którym już nigdy nie gościła Maria Skłodowska-Curie, mieści się obecnie biblioteka Instytutu Onkologii. Znaleźć tu można 600 prac naukowych, ogłoszonych drukiem w okresie powojennym w Warszawie i drugie tyle prac z oddziałów Instytutu w Gliwicach i Krakowie.

Mylny byłby jednak sąd, że Instytut Onkologii koncentruje się jedynie na pracy naukowo-badawczej

Zadania onkologii polskiej, rozwijane i realizowane przez Instytut, obejmują również — jeśli nie przede wszystkim — organizację walki z rakiem w Polsce. Opiera się ona na zorganizowanej sieci onkologicznej, na którą składają się instytuty naukowo-badawcze (Warszawa, Gliwice, Kraków), zajmujące się organizacją niższych szczebli sieci onkologicznej, profilaktyką i leczeniem nowotworów, szkoleniem kadry specjalistów oraz opracowywaniem danych statystycznych i epidemiologicznych. W sieć tej służby wchodzi także ośrodek onkologiczny, będący szpitalami w większych miastach wojewódzkich, przeznaczone do leczenia chorych nowotworowych i również prowadzące szkolenie specjalistów. Uzupełnieniem niejako są wreszcie poradnie onkologiczne, mające na celu wczesne wykrywanie nowotworów, leczenie tzw. stanów przedrakowych i opiekę nad nieuleczalnie chorymi na danym terenie.

Tak zorganizowana walka z rakiem pozwala uchwycić prawdziwe dane statystyczne, co więcej — optymistyczne snuć prognozy.

TOMASZ MIECIK

Zdzisław Koziol

NOWE SPOJRZENIE

Jesteśmy krajem ludzi młodych, co jest powodem do dumy, bowiem młodość symbolizuje siłę i prężność, lecz liczebność młodych roczników następcza także wiele kłopotów i trudności. Złożoność skutków wylęgu demograficznego dostrzegamy w pełni, w zakresie szkolnictwa, ale młodzi szturmuje nie tylko bramy szkół; coraz liczniej pojawiają się w przedsiębiorstwach i instytucjach; przeciętny wiek załóg poważnie się obniża.

W bieżącej 5-lacie w samym tylko przemyśle znajdzie zatrudnienie 600 tys. młodych pracowników, absolwentów różnych typów szkół, głównie zasadniczych zawodowych. Spory odsetek nowo zatrudnionych to ludzie, którzy jeszcze nie ukończyli 20 lat. Mówi się więc o odpowiedzialności szkoły za przygotowanie tych kadr, ale równocześnie trzeba podnieść inne zagadnienie, a mianowicie wychowawczych funkcji przedsiębiorstwa. Związki zawodowe ujęły to w lapidarnym hasle: „Zakład pracy — środowiskiem wychowawczym”.

Byłem kiedyś w jednym z przedsiębiorstw, które w 5-leciu zatrudni 3 tys. nowych pracowników; dyrekcją liczy na absolwentów szkół zawodowych oraz mieszkanców wsi. Zresztą wśród absolwentów ZSZ też przeważa młodzież wiejska. A więc cechą nowo zatrudnionych w tym i wielu innych przedsiębiorstwach jest młody wiek i w dużym stopniu pochodzenie chłopskie. Na tym nie koniec: dąży się do zwiększenia udziału dziewcząt w szkołach przygotowujących do zawodów tradycyjnie męskich, co znów następcza sporo problemów natury społecznej i wychowawczej.

I jeszcze jedno: obniża się średni wiek załóg, ale mamy pewien odsetek pracowników starszych, w tym wielu o zmniejszonych możliwościach zawodowych. Jak oni przyjmują młodych? Z socjologicznego i psychologicznego punktu widzenia jest to zagadnienie bardzo istotne, a jego doniosłość nie jest w pełni doceniana.

Problemy młodych pracowników kompleksowo ujmują specjalna uchwała VI Kongresu Związków Zawodowych. Od jej podjęcia upłynęło już kilka miesięcy, ale w niektórych branżach przeszła ona raczej bez echa. W pewnym stopniu jest to spowodowane wosnoletnim osłabieniem tętna życia społecznego, przysiółkowa kankiuta. Okres wakacji już minął, wznowiły działalność organizacje i instancje związkowe, a co najważniejsze — tysiące absolwentów szkół podjęło pracę zawodową. Czas więc przystąpić do realizacji wspomnianej uchwały. Aczkolwiek Kongres wytyczył zadania dla związków zawodowych, to jednak bez udziału innych organizacji społecznych nie można podjąć działalności skutecznej; uchwała zobowiązuje instancje związkowe, zwłaszcza rady zakładowe, do pełnej integracji ich poczynań z inicjatywami organizacji młodzieżowych.

U podstaw decyzji Kongresu leży nowe spojrzenie na problem młodzieży pracującej. Na plan pierwszy wysunęło kompleks zagadnień związanych z wykształceniem i podnoszeniem kwalifikacji, m. in. pomoc dla szkół przyzakładowych, pomoc dla kształcących się zaocznie czy rozwój różnych form szkolenia wewnątrzzakładowego.

Występuje tu pełna zgodność interesów jednostki z interesem ogółu, zdobycie kwalifikacji jest drogą do awansu, co daje korzyści pracownikowi i jednocześnie odpowiada potrzebom gospodarki narodowej. W tej grupie zadań Kongres podniósł bardzo istotną sprawę; w uchwale mówi się o konieczności podjęcia starań w kierunku przyznawania stypendiów fundowanych dzieciom zasłużonych robotników. Podkreśla się także potrzebę prowadzenia pracy wyjaśniającej wśród robotników na rzecz podejmowania przez ich dzieci studiów wyższych.

Te punkty uchwały eksponują dlatego, gdyż w ostatnich latach nastąpił na wyższych uczelniach procentowy spadek młodzieży ze środowisk robotniczych; stosowane dotychczas próby przeciwdziałania — tak żywo dyskutowane punkty preferujące za pochodzenie — nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Jeśli decyzje Kongresu będą rozumnie realizowane, być może więcej dzieci robotników podejmie studia. O sprawach tych już nieraz pisałem, podkreślając, że kryteria socjalne nie straciły jeszcze na swojej ważności; stały do tyłu młodzieży robotniczej i chłopskiej przeciwdziała wyizolowaniu się środowisk inteligentnych.

Druga grupa zagadnień dotyczy przestrzegania ustawodawstwa i ochrony pracy. Ma to szczególne znaczenie w przypadku pracowników młodocianych. Uchwała podkreśla również zadania związane z adaptacją młodego pracownika, stwierdzając, że o jego stosunku do pracy, współtowarzyszy i przedsiębiorstwa decydują pierwsze kroki po przekroczeniu bramy fabrycznej. Adaptacja zaś jest złożonym zagadnieniem społecznym, zawodowym oraz medycznym. Wspomnę jeszcze o działalności kulturalno — oświatowej i rozwijaniu sportu oraz wypoczynku, a otrzymamy całą gamę zagadnień składających się na problem pracy z młodzieżą. Rozwiązanie wielu spraw zależy nie tylko od związków zawodowych. Kongres wysuwa więc postulaty wobec zainteresowanych ministerstw, organizacji oraz spółdzielczości mieszkaniowej, by uwzględniła interesy młodych małżeństw.

Uchwała podkreśla potrzebę rozwijania pracy wychowawczej, akcentując, że jej powodzenie zależy od atmosfery w zakładzie, panujących w nim stosunków międzyludzkich, aktywności organizacji politycznych. Mówi się także o bodźcach moralnych i materialnych, o wychowawczym znaczeniu współzawodnictwa pracy, udziale młodzieży w działalności samorządów robotniczych.

Czy instancje związkowe są przygotowane do kompleksowego podjęcia zadań wynikających z uchwały Kongresu? Zainteresowanie nią wykazano zbyt późno. Wydaje mi się również, że plany pracy — przynajmniej te, które znam — stanowią streszczenie uchwały, bez uwzględnienia specyfiki branż i przedsiębiorstw. I tak weźmy np. współzawodnictwo, szczególnie o tytuł brygady pracy socjalistycznej. Rozwija się ono znacznie lepiej w tych przedsiębiorstwach, w których opracowano własny regulamin, dostosowany do potrzeb. Współzawodnictwo przybiera formę ostrej, lecz koleżeńskej rywalizacji, w

tych zakładach, których samorząd robotniczy uzyskał prawo nadawania tytułów BPS; niezasłużone wyróżnienie jest raczej wykluczone, bo współzawodniczący kolektyw wytknie ewentualne braki konkurującej brygadzie. Natomiast jakże często przyznanie tego tytułu na tzw. „szczeblu” ani nie zagrzewa, ani nie ziębi załogi. By zdobyć tytuł BPS trzeba spełnić szereg warunków, m. in. członkowie brygady muszą uzyskać odpowiednie kwalifikacje. A co robić, jeśli te i inne kryteria już spełniono? W niektórych przedsiębiorstwach ustanawia się więc wyższe formy współzawodnictwa, by BPS nie spoczęły na laurach.

W wielu przedsiębiorstwach współzawodnictwo jest jednak tylko fikcją; przedstawiciele Komisji Młodzieżowej przy WKZZ mówili mi o zakładach, których kierownictwa w ogóle nie widzą potrzeby jego rozwijania. Nie wykorzystują funduszy na ten cel, a np. 700 złotych nagrody, jaką wypłacano kilkunastoosobowej brygadzie za półroczny aktywny udział we współzawodnictwie, jest po prostu antybodźcem. Generalnie rzecz biorąc przecenia się jednak bodźce ekonomiczne, np. nie zawsze umiejętnie stosowane, natomiast nie docenia się bodźców moralnych. A współzawodnictwo rodzi emocjonalne zaangażowanie, ma w sobie coś z gry, żeby nie powiedzieć hazardu, oczywiście w dobrym tego słowa znaczeniu. Jest to jeden spoza technicznych warunków wzrostu wydajności pracy.

Powracając do pytania o możliwościach realizacji uchwały Kongresu, warto podkreślić, że instancje związkowe w Rzeszowie zdołały już skupić wokół siebie sporą grupę aktywistów. Mam na myśli chociażby Komisję Młodzieżową przy WKZZ, komisję młodzieżową w przedsiębiorstwach przemysłu metalowego, górniczego oraz w kilku zakładach chemicznych. Ich członkowie są przeważnie ludźmi młodymi, lecz już z kilkuletnim stażem pracy zawodowej i społecznej. Kształtuje się nowy typ działacza młodzieżowego, łączącego walory społeczne i merytoryczne, gotowego pracować pod warunkiem, że jego działalność przynosi rezultaty.

Członkowie Komisji Młodzieżowej przy WKZZ m. in. przeprowadzili kontrole hoteli robotniczych oraz przestrzegania przepisów o ochronie pracy. Z jakim skutkiem? Na ten temat niewiele mogli mi powiedzieć, narzekając na brak uprawnień do egzekwowania postulatów. Gwoli ścisłości dodam, że zaalarmowany inspektor pracy przeprowadził ponowną kontrolę, karając winnych naruszenia prawa pracy. Czy ktoś poważnie zajął się raportem Komisji w sprawie krytycznej sytuacji w wielu hotelach robotniczych. Nie wiedzą, bo kolejnej kontroli jeszcze nie przeprowadzili.

Członkowie Komisji, których poznałem, to rzeczywiście wartościowi działacze społeczni, podejmujący cenne inicjatywy, ale w dużej mierze działający w odosobnieniu. Występując wobec pracodawców czy partnerów działających wśród młodzieży mogą liczyć tylko na swój autorytet moralny... Ten aktyw trzeba otoczyć opieką, stworzyć mu warunki do podjęcia pracy szerokim frontem; wówczas będą mogli przełożyć generalne wytyczne na język praktyki.



FOT. J. MENDYCHOWSKI

Gołę się, więc myślę

Mojemu synowi się wydaje, że najbardziej męskim pokojem w mieszkaniu jest gabinet. Gabinetem nazwano pokój, gdzie stoi moje biurko, bo w tym mniejszym — nie chciało się zmieścić. Nie chcę wyprowadzać syna z błędu, że po osmiu godzinach pracy w biurze — marzę o biurku w stołowym pokoju. Gdy dorosnie, sam zrozumie, że najbardziej męskim pokojem nie jest gabinet, tylko łazienka. Dopiero w łazience mężczyzna jest w pełni osobowością, jest kimś. Właściwie kobiety, próbując rozszyfrować kompleks łazienki, sugerują, że odżywa w nas mały chłopiec, szczęśliwy, że rodzic już nie sprząda czystości uszu i szyi. Jednakże ten osąd jest płaski, mimo pozorów powierzchownej słuszności. Udowodnia, jak bardzo nas kobiety nie znają i nie rozumieją! Moglibyśmy przedstawić tysiąc sposobów na nieumycie nóg i drugie tyle na łagodne potraktowanie szyi, ale nam takie wybiegi są obce. Kina, gry, psychologię i inne nauki wezmą się na serio do rozwiązywania duszy mężczyzny, w łazience stanie postument Nieznanego. Wtedy niech nasza ręka chlapnie serdecznie na monument trochę rozrobionego mydłanego kremu, bo to będzie pomnik Mężczyzny, Który się Goli!

Wiele jest teorii golenia, ale na ten temat rozmawiać będziemy w swoim gronie, przy innej okazji. Jednak pośrodku nas, że golimy się dlatego, bo rośnie nam broda, wymaga stanowczego potraktowania. Czy historia ludzkości nie na początku slynnych brodaczy, jak kamienie młowe rozstawionych na ścieżkach historii? Czy wąski, baczki, bokobrody nie weszły na stałe do atrybutów urody i wdzięku? Czy mamy się powoływać na księcia Poniatowskiego, zwycięzcy Sobieskiego i sięgać do literatury, co podkreślał w zdenerwowaniu mały rycearz? Sądzę, że tradycja męskości jest dostatecznie udokumentowana, aby się trzeba było rozwodzić nad tematem.

Nie muszę dodawać, że golenie się „na gładko” jest tylko naszym dobrurowanym ustępstwem, a nie ma na celu upodobnienia naszego policzka do policzka kobiety. Dobrze ogolona twarz posiada owa condorowska smugę cienia, po której poznajemy szlachetność pochodzenia. Wiąże się to z całą gamą kultury, do której kobiety nie mają dostępu, bo erudycja golenia wymaga tysięcy lat kultury. Za-

nim zajmiemy się omówieniem najmłodniejszych prądów, warto zgłębić psychologię łazienki jako takiej, gdyż od niej zaczęliśmy nasz naukowy wywód.

Nawet kobiety zauważyły, że większość z nas w łazience śpiewa. Pomijając repertuar, zawsze w dobrym gatunku (arie opery i operetki, koncerty skrzypcowe i pieśni kombatanckie), zjawisko dowodzi, że śpiewa człowiek szczęśliwy i wyzwolony z przyziemnych trosk i kłopotów. Czy śpiewa ktokolwiek z nas w chwili, gdy żona przypaliła zupę, gdy trzeba iść na wywiadówkę do szkoły, gdy nie starcza do pierwszego, gdy narceznik okazał się idiotą? Ktokolwiek powie, że człowiek śpiewa w podanych powyżej warunkach, miła się z prawdą.

Zastanówmy się na chwilę, jaka reinkarnacja dokonuje się w tak dla nas miłym pomieszczeniu. Odwołujemy się do efektu jaskiniowego ogniska, wydaje się zbytnim uproszczeniem, a sugerowanie kultury koszar pomija w mieszkaniu obecność kobiet. Nie zamykając przed naukowcami ostatecznego rozwiązania problemu, skłonni jesteśmy twierdzić, że tu odzwierciedla się nasze przywiązanie do tradycji. Łazienka jest pierwszym, wykopaliskami udowodnionym, dokumentem kultury średniego patriarchatu, w matriarchat, jak powszechnie wiadomo, zamienionym na prymitywne pralnie. Każdy, kto odróżnia pralnię od łazienki, wie, jak bardzo ludzkość straciła na tej zamianie.

Najwyższy czas pomówić o samej technice golenia. W dobrych, męskich czasach goliliśmy się brzytwami. Co to jest brzytwa, nie udało nam się wywieść, to jest temat dla archeologów. Ja sam urodziłem się w epoce żyletek, wszyscy wiemy, co to za epoka. Podeszrzewam, że żyletka, jak sama nazwa wskazuje, wynalazła kobieta, ale na szczęście, wtrącił się jej dobry mąż, pan Silver. Z tym panem warto pomówić na temat ceny. Nie każdy chce płacić za paczkę żyletek do golenia tyle, ile kosztuje trzydziestoosobowy koniak. Reasumując, dzielimy się na tych, którzy się goli maszynką elektryczną, aby się dogolić żyletką, i na tych, którzy się goli żyletką, aby się dogolić maszynką do golenia. Tak czy tak, człowiek, który ma w pamięci patetyczny zarost przodków — ciępli. Ale nas to nie rozkłada, przeciwnie, radzi wracam do łazienki, aby być sobą.

WIESŁAW RUSTECCI

Tadeusz Tatar

Z cyklu: Z niedawnej przeszłości

ZIEMIA

TRYPTYK CZĘŚĆ III.

W lipcu nad wsią przewalał się front. W czasie bitwy Ryznarowa siedziała przy Czarnej cała noc. Tu-liła twarz do pyska krowy i przy każdym silniejszym wybuchu drżała obie. Rano, obok chaty rozległy się strzały i zaraz po nich okrzyk:

— Hej, Ludu! Wychadźcie! Gerz-

znanicy uszli! Ryznarowa nie wychodziła jeszcze cały dzień. Krowa żałowała porykując z głodu i pragnienia. Stara kobieta bała się strzałów, obcej mowy, którą usłyszała o świecie, bała się wojny, która przyszła pod jej chatę i zaglądała w okna nocnym porażem. Inni mogli mówić, że przychodzi wyzwolenie. Ona nie wierzyła

nie w wyzwolenie, nie oczekiwała żadnego wyzwolenia. Skąd mogła wiedzieć co ją czeka prócz pracy na pańskim, prócz noszenia trawy z rowów i cięcia paszy na zime.

Na drugi dzień wybuchy dudniły daleko, jak znikająca za horyzontem burza. Między chatami roili się żołnierze. Myli się, golili, jedli, spali na trawie, grali na harmonii. Ryznarowa musiała przynieść trawy. Ze strachem przemyciała w stronę folwarku. Żniwa przecie — myślała — może pan rzadca każę już kończyć.

W polu nie było nikogo. Za dworską stodołą stało kilka armat. Przy nich na sнопach żyta siedzieli żołnierze. Ryznarowa zauważyła ich, gdy już była zbyt blisko, by cofnąć się niepostrzeżenie. Stała przed tymi żołnierzami i ze strachu nogi odmówiły jej posłuszeństwa. W jednej ręce trzymała płachtę, a drugą do piersi przyciskała sierp. Brudna, pokryta łatami spódnica sięga kostek,

nie mniej polatana bluza zwisa na jej chudym ciele jak worek. Kosmyki siwych włosów wysunęły się spod chustki i chwiała się wokół pomarszczonej twarzy. Jeden z żołnierzy podniósł się ze sнопka i podchodził do niej.

— Czewo wam hazajka? Czewo wam nada?

Głos ma łagodny, młody. Zrozumiała pytanie. Gdzieś w zakamarkach pamięci odnajduje słowa poznane jeszcze podczas tamtej wojny. Drżącymi wargami mówi, bez nadziei, bo co tych obcych żołnierzy, którzy tu stoją żeby strzelać, obchodzi to, co znaczy dla niej krowa.

— Trawy. Uciąć trawy dla Czarnej, dla krowy. Nie mam pola, muszę z rowu. Dla krowy, dla mojej Czarnej. Tylko trochę trawy... do płachty.

— Trawy? Bieri skolko chocesz. Bieri babuszka, nie pugajsia.

Widząc, że wciąż stoi w strachu i niepewności, żołnierz wyjmując z jej ręki sierp, po gospodarsku maca palcem ostrze, podchodzi do lanu dworskiej konicy i zaczyna ścinać duże garście zielonej, soczystej paszy.

Ryznarowa przeraziła się jeszcze bardziej. Jeszcze kto zobaczy i powie panu rzadcy, a wtedy już nie przyma jej do żniw ani do kopiania i co będzie. Co będzie? Cnce odebrać sierp, zabronie żołnierzowi, ale ten rozbawionym i pewnym siebie głosem woła:

— Niet uże panow, babuszka, uszli wmiestie z faszystami, Tiepier eto polie budziet wasze, twajo toże. Bieri babuszka skolko nada. Bieri, nie bojsia.

Coś się przelamuje w starej kobiecie. Coś pęka, jakoy pęta, którymi związana była od urodzenia, od pierwszego wyjścia na pańskie pole. A więc można tak dla siebie ciąć pańskie? I ten żołnierz ma władzę? A kto ją obroni, jak przyjdą odebrać jej ten pański konicz? Czy drugi żołnierz też taki będzie? Jeszcze waha się. Jeszcze resztki strachu hamują rękę, ale one same wyciągają się po pańskie. Jeszcze gdzieś w środku siedzą cienie obaw i oporu, już wie jednak, że weźmie, że nie zostawi tu ściętej paszy, smacznej, Czarnej jeszcze nigdy takiej nie jadła.

Szybko, zachłannie zaczyna rzucać koniczną na płachtę. Urasta spora sterta, ledwie obejmuje ją rogami płachty. Próbuje unieść tobor na plecy, ale zatacza się i siada bezsilnie. Żołnierze patrzą na tę zmaganie starej kobiety z ciężarem i jednym z nich, widocznie oicer woła w głąb zabucowań folwarcznych:

— Kostia, nu ka dawaj suda!

Zza stodoły wylania się mały, krępy żołnierz przepasany kucharskim fartuchem i podbiega do tego oficera. Ryznarowa tego nie widzi ani nie słyszy, bo znów próbuje zarzuć tobor na ramię, ale ciężar jest ponad jej siły. Ogarnia ją rozpacz — trzeba zostawić tyle konicy. Pod powiekami czuje piekący lzy. Naraz płachta sama unosi się do góry, a spod niej odzywa się przerywany qyszkant.

— Nu, ku... ku... kuda tiebie naaa... ada? Wiedzi.

W pierwszym chwili kobieta nie rozumie o co chodzi. Znow przeraża się, że chcą jej odebrać i płachtę, i

Na szklanym ekranie w nowym sezonie

Nowy sezon jesienno-zimowy Telewizji Polska rozpoczyna 1 października. Jakie pozycje z obecnego programu będą utrzymane, jakie są przewidziane zmiany? — z pytaniem tym zwrócił się przedstawiciel PAP do dyrektora programowego TV, Stanisława Stampfla.

— Broniłbym się przed określeniem „sezon”. Telewizja nie powinna mieć swych „sezonów”, bo z tym od razu kojarzy się myśl, że mogą istnieć okresy „pozasezonowe”. Staramy się jedynie dostosować układ programów do zmienionego w jesieni i zimą trybu życia i rozkładu czasu naszych odbiorców. Przy tej okazji rezygnujemy z niektórych pozycji programowych, chcemy natomiast na ich miejsce wprowadzić nowe, ciekawsze, jeśli uda nam się tego dokonać. Są pozycje w telewizyjnym programie, których miejsce poświęcone jest już tradycja. Teatr Poniedziałkowy TV, Studio 63, Dzienniki, Monitor, Światłowod, Refleksje, Tele-Echo, czwartkowa „Kobra”, Wielka Gra — pozycje różne i z różnych dziedzin programu, które wymieniam tu przykładowo, tak dalece zaakceptowane zostały — jak się wydaje — przez naszych odbiorców, że w jakimś sensie one właśnie wyznaczają już układ programu i wszelkie dalsze manewry i po-

sunienia w tej dziedzinie odbywać się muszą niejako poza nimi.

Ogólnie można powiedzieć, że program ulegnie powiększeniu. Powiększenie to dotyczy przede wszystkim Politechniki TV. Będzie ona prowadziła wykłady nie tylko dla I, ale i dla II roku studiów i to nie — jak dotychczas — z czterech, ale z sześciu przedmiotów: z matematyki, geometrii wykreślnej, fizyki, chemii, elektrotechniki i z dziedziny wytrzymałości materiałów.

Teatr Poniedziałkowy będzie kontynuował dotychczasową linię repertuarową. Ujrzymy tam z repertuaru antycznego „Króla Edypa”, w reżyserii Jerzego Gruzy z Ireną Eichlerówną i Gustawem Holoubkiem, z klasyki „Fausta” w reżyserii Ludwika Rene i „Don Carlosa” w reżyserii Ireneusza Kanickiego. Ze sztuk współczesnych z ciekawszych pozycji wymienić należy „Szwęską pasję Filipa Hotza” Maxa Frischa, w reżyserii gościnnie u nas występującego Szwajcara, Serge Nicoloffa. Gościnnie reżyserować będzie także Wsiewołod Turbin, główny reżyser Telewizji Radzieckiej. Przygotowuje on widowisko pt. „Siódmy satelita” Borysa Ławreniwa. Z ciekawszych pozycji polskich warto wymienić „Tylko Beatrice” Teodora Parnickiego w adaptacji

Hanny Okraskowej oraz oryginalną sztukę telewizyjną pt. „Kościusko” pióra Jerzego Krasowskiego i w jego reżyserii, z Jackiem Woszczerowiczem w roli Napoleona, Bronisławem Pawlikiem w roli tytułowej. Oczywiście, są to zaledwie przykładowo wybrane tytuły z bogatej i długiej listy.

Studio 63 po serii interesujących programów poświęconych poezji polskiej, jakie zaprezentowało nam w roku Tysiąclecia, odeszcie częściowo od poezji, wracając do swych dawnych założeń. Będą to więc wybrane pozycje z literatury polskiej i obcej, ukazywane poprzez poszukujące nowych rozwiązań warsztat telewizyjny. Z ciekawszych projektów innego rodzaju wymienić warto cykl przygotowywany przez prof. Macieja Żurawskiego i red. Jerzego Wittlina na temat wędrówek starożytnych mitów przez rozmaite wątki literackie w interpretacji rozmaitych twórców różnych narodów, ze szczególnym uwzględnieniem tradycji literatury polskiej.

Poezję kontynuować będzie natomiast niedzielna „Estrada literacka” i tu ujrzymy w najbliższym czasie „Wielki Testament” Villona, „Dwu-nastu” Aleksandra Błoka i puzkińskiego „Eugeniusza Oniegina”. Nową scenę teatru telewizyjnego otworzy w tym okresie „Telewizyj-

ne Studio Współczesne”, którego spektakle pojawiać się będą w środy. W realizacji tego przedsięwzięcia rywalizację podejmie Warszawa i Kraków. Ma to być w pewnym sensie telewizyjny teatr propozycji, teatr szkiców scenicznych. Ujrzymy tam w najbliższym czasie „Czapę” Janusza Krasńskiego w reżyserii Tadeusza Jaworskiego, Jerzego Janickiego „Homo absens”, „Nokturn” Stanisława Grochowiaka i wiele innych pozycji.

Niedziele wzbogacą się o dwie ważne pozycje. Kilkunastoosobowa grupa autorów przygotowuje szereg pozycji dla niedzielnego Teatru Komedi Współczesnej. Już w tej chwili mogą zaszyfrować „Koniec maskarady” Andrzeja Wydrzyńskiego, „Wille kłamców” Agnieszki Osieckiej oraz Janusza Majewskiego „Santa Claus”. Interesującą pozycją niedzielną będą próby prezentacji dubbingowanych spektakli teatralnych innych telewizji. W cyklu „Teatr TV na świecie” widzowie nasi będą oglądać japońską sztukę „Na stacji”, słowacki spektakl pt. „Kubo”, „Gustawa III” Strindberga w realizacji Telewizji Fińskiej, „Śmierć sędziego Golowina” według Lwa Tołstoja w realizacji węgierskiej i wiele innych. Ten cykl programów da okazję do porównania osiągnięć innych telewizji z naszym rodzimym teatrem TV.

O coraz mocniejszą pozycję w programie walczą fabularny i rozrywkowy film telewizyjny. Wydaje się być rzeczą słuszną, żeby premiery filmowe miały swój dzień i swoje stałe miejsce w programie. Dniem będzie piątek. Przede wszystkim sygnalizuję serię filmów osnutych na motywach najstojniejszych nowel fantastyki w literaturze światowej.

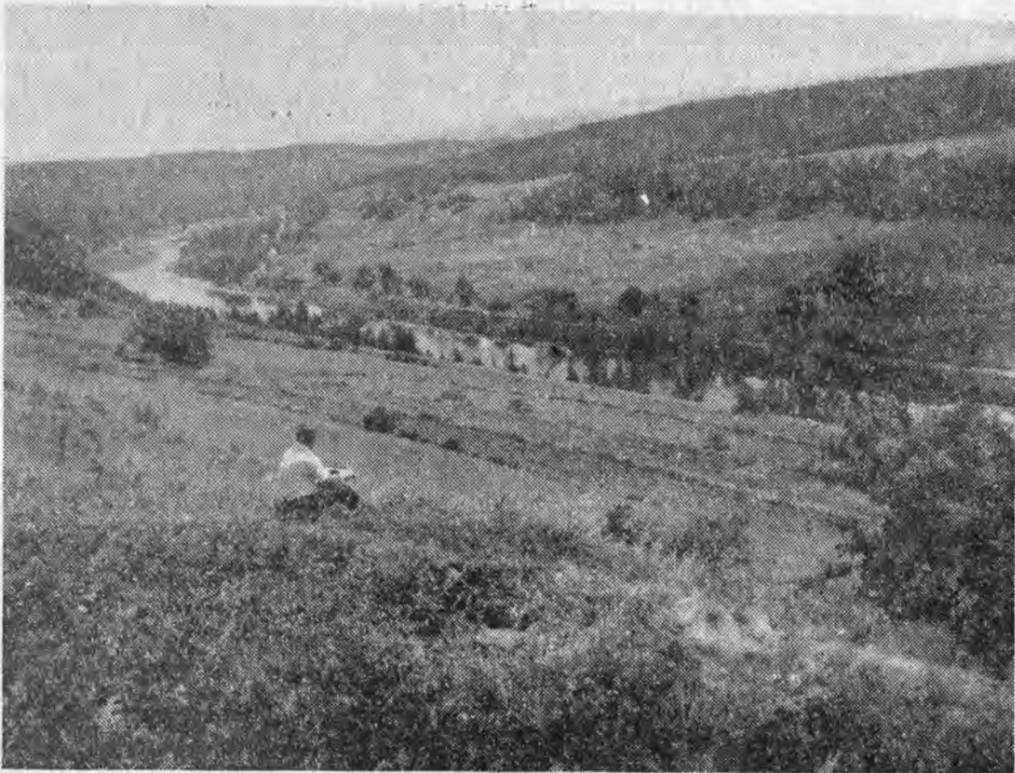
Będzie miał także swój dzień telewizyjny reportaż filmowy i podobny jak „Teatr TV na świecie” cykl najwybitniejszych reportaży obcych telewizji. Warto tutaj odnotować chyba, że telewizyjna redakcja reportaży ogłasza długofalowy konkurs na reportaże. Skoro już mowa o publicystyce należy zaszyfrować

złowac, że telewizja przygotowuje się do trudnej niewątpliwie batalii o nowe treści i formę podania, o warsztat telewizyjny w tej dziedzinie. Zmian jakościowych nie należy jednak oczekiwać wcześniej, aż zdołamy stworzyć naszym redakcjom dogodniejsze warunki pracy w studiach.

Istnieje w programie TV obszerne pogranicze publicystyki, teatru i rozrywki, przy czym zawsze jest rzeczą dyskusyjną, czy jest to „pogranicze”, czy też autonomiczna dziedzina telewizyjnych programów. Mam na myśli „Turnieje miast”, „Plebiscyty Archimedeusza”, czy też „Bez apelacji”. Programy te będą, oczywiście, kontynuowane. Najbliższy turniej miast rozegra się między Nowym Sączem a Nowym Targiem w miejscu bardzo malowniczym, bo nad Dunajcem, na zamczku w Niedzicy. Następny — między Warszawą a Krakowem. Ale już teraz przygotowuje się nowe programy tego typu. Jednym z nich będzie „Amfiteatr 68”. Aby nikt nie mylił tytułu wyjaśniam, że oznacza on przede wszystkim udział w programie szerokiej widowni.

W tej skróconej z konieczności i ogólnej relacji o programie jesienno-zimowym nie sposób pominąć grupy tematów związanych z 50 rocznicą Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Zapowiadamy więc — obok pozycji teatralnych, filmowych i poetycko-muzycznych — dwa cykle reportaży, przygotowywanych obecnie przez naszych autorów na terenie Związku Radzieckiego. Będzie to próba odszukania śladów wspólnych walk i działań partyzanckich okresu drugiej wojny światowej oraz prób reporterskiej konfrontacji przeszłości z dniem dzisiejszym na terenie wielkich, dzisiaj już historycznych, budowli komunizmu, jak np. słynny Maginotowski.

Warto podkreślić, że nasz rajd reporterski dotrze w poszukiwaniu materiałów do odległych zakątków Związku Radzieckiego. (rozmawiał Romuald Załuska, Kł-PAP)



FOT. M. KOPEC
Piękno ziemi bieszczadzkiej

Konkurs na pamiątki i upominki regionalne

Związek Spółdzielni Przemysłu Ludowego i Artystycznego „Cepelia” w Warszawie, Spółdzielnia Zrzeszenia Chałupników i Wytwórców Przemysłu Ludowego i Artystycznego w Krakowie oraz Regionalne Biuro Sprzedaży „Cepelia” w Krakowie przy współudziale Wydziału Kultury Woj. Rady Narodowej w Rzeszowie i Muzeum Okręgowego w Rzeszowie, ogłaszają konkurs na pamiątki i upominki regionalne. Konkurs ten jako jedna z corocznych akcji organizowanych na terenie kraju przez „Cepelię” ma na celu zwiększenie i urozmaicenie masy towarowej w sklepach „Cepelia” artykułami o charakterze pamiątkarskim z regionu rzeszowskiego, odszukanie w regionie rzeszowskim zanikających form sztuki ludowej i ich upowszechnienie.

Na konkurs można nadsyłać wytwory sztuki ludowej, takie jak rzeźba, ceramika, wyroby kowalskie, tkaniny, hafty, plecionki ze słomy, z korzenia i wikliny, miniatury przedmiotów obrzędowych, jak turonie, różdżki weselne, bukiety, ozdoby choinkowe, zabawki dziecięce wykonane z drewna, gliny czy innych materiałów, można też nadsyłać wytwory będące adaptacją sztuki ludowej w pamiątkach i upominkach o charakterze regionalnym.

Uczestnikami konkursu mogą być zamieszkałi na terenie województwa rzeszowskiego twórcy i wytwórcy ludowi, artyści i rzemieślnicy, amatorzy. Każdy z uczestników konkursu może zgłosić dowolną ilość prac przez siebie wykonanych.

Prace reprezentujące wysoki poziom artystyczny i techniczny uzyskają nagrody pieniężne i wyróżnienia. Ponadto przewidziane jest wytypowanie przez Sąd konkursowy wzorów do skupu i produkcji.

Termin składania prac upływa z dniem 30 października 1967 r. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do dnia 15 listopada 1967 r. Prace konkursowe należy składać lub przysyłać pod adresem: Muzeum Okręgowe, Rzeszów, ul. 3 Maja 19, z napisem na opakowaniu „konkurs regionalny”.

ZIEMIA

TRYPTYK CZĘŚĆ III.

(Ciąg dalszy ze str. 3)

koniec. Ale żołnierz stoi obok i powtarza:
— Nu, kuda chooo... czesz, gdzie żywiosz. Wiedl.

Ten jakąś nie może mieć złych zamiarów. Jest bez broni i cały znika pod tobolem koniczyny. Wdzięczność zalewa serce starej. Znow czuje ły i jakieś laskotanie w piersiach. Odruchowo gładzi małego żołnierza po ramieniu i drobnym krokiem rusza w stronę domu.

Ludzie zza płotów patrzą na tych dwoje i dziwią się, a Ryznarka stąpa coraz pewniej i podnosi głowę. Nikt głośno nie woła, dzieciaki rozdziewają buzie i gapią się na niezwykły widok. Tylko szeptują niosąc się od chałupy do chałupy.

— Pozirejcie ludzie — Ruski nie sie Ryznarcie konicz. Pozirejcie na co to przyszło...

W chałupie stara posadziła żołnierza przy stole i wiała do kubka wszystko mleko, jakie miała.

— Chleba ni mom — bezradnie rozkłada ręce — jeno to mliko. Pijcie panie żołmirzu, pijcie za to coście mnie starej... — i znow ły strumieniem leca po jej twarzy.

Żołnierz ociera pot i patrzy na izbę. Mleka nawet nie próbuje.
— Nie nada, spasiba. Bud' zdaro-

wa babuszka. Prijdi ka mnie dam chlieba. U nas mnogo chlieba.

I jeszcze chciał coś powiedzieć, ale zająknął się długo... więc tylko zasalutował i wyszedł.

Od tego dnia Ryznarowa bez strachu chodziła po koniczynę. A gdy żołnierze zabrali działą i odjechali, jakiś człowiek zwołał ludzi i kazał kończyć zniwa. Ryznarowa też pracowała i dostała furę żyta. Ładowała to żyto na strych i cieszyła się, że Czarna będzie miała tyle pięknej słomy.

We wrześniu przyjechało trzech z miasta. Zebrali ludzi i ogłosili, że są pełnomocnikami jakiegoś Komitetu Wyzwolenia Narodowego i że będą dzielić pańską ziemię. Ryznarowa nie od razu zrozumiała, co mówią ci pełnomocnicy. Jak to będzie? Będą dawać pańską ziemię? Każdemu? Za darmo? Ludzie tłoczą się i przepychają, stara nie może dosłyszeć wszystkiego. Dolatują do niej tylko pojedyncze słowa: „reforma... koniec krzywdy... władza ludowa...”.

Ogarnia ją podniecenie. Jak to? Co to? Nadzieja, którą rozniecił ten żołnierz przy koniczynie zaczyna przesłaniać wszystko inne. Nie słyszy ludzkich szepotów pełnych wątpliwości i obaw. I kiedy ludzie rozchodzą się — jedni rozognieni, rozgadani, inni milczący, rozważający w skupieniu, a wszyscy trochę niepewni, trochę nieufni, niedowierzający — wtedy stara kobieta puka do drzwi, za którymi zniknęli pełnomocnicy.

— Dopraszam się łaski, panowie, powiedzcie po prawdzie, jak to z tą ziemią, będzie?...
Wargi nie mogą dalej mówić. Stoł pochylona do przodu, cała w słuch zamieniona. Wszystko zależy od tej odpowiedzi. Wszystko. Kawałek własnego pola. Pasza dla Czarnej. Chleb dla niej samej. Pogarda i drwiny wsi. Czarownica odbierająca mleko krowom. Złodziejka nocna szukająca trawy. Pańskie buraki, ziemniaki, liście, dużo zielonych, długich, grubych liści. Duże, różowe buraki. Czarna. Sierść błyszcząca, gładka, bez gnatów wypychających skórę. Czarna na polu. Pasie się na własnym polu, na własnej miedzy, dużej, szerokiej miedzy — granicy jej pola, jej ziemi. Ziemia! Ziemia! Czarna tłusta, buraczana, Ziemia — koniec zielony. Ziemia! Ziemia...
— Będzie ziemia — dociera do niej już przez mgłę.
— Będzie ziemia — powtarzają jej usta i zagony czarne płyną do niej skibami, ogarniają ją, otulają łagodnie.
Długo ją musielić cucić. Potem dali pić. Jeden włożył do ręki bułkę z kiebasą. Jadła i ksztuśla się smakiem kiebasy, która przechodziła jej przez przełyk dużymi kęsami, bo nie miała czym jej pogryźć. Czula w sobie tę kiebasę i coraz jaśniej robiło jej się w głowie. Coraz jaśniej.
A potem, kiedy już „fajtakiem” wymierzili jej pole, kiedy postawiła trzy krzyżyki na papierze, powiedzieli:
— No, to niech wam się szczęści gospodynio, niech daje stokrotne plony.
Prosto od nich poleciała do księdza proboszcza, żeby przyszedł poświęcić pole, jej ziemię.

Wargi nie mogą dalej mówić. Stoł pochylona do przodu, cała w słuch zamieniona. Wszystko zależy od tej odpowiedzi. Wszystko. Kawałek własnego pola. Pasza dla Czarnej. Chleb dla niej samej. Pogarda i drwiny wsi. Czarownica odbierająca mleko krowom. Złodziejka nocna szukająca trawy. Pańskie buraki, ziemniaki, liście, dużo zielonych, długich, grubych liści. Duże, różowe buraki. Czarna. Sierść błyszcząca, gładka, bez gnatów wypychających skórę. Czarna na polu. Pasie się na własnym polu, na własnej miedzy, dużej, szerokiej miedzy — granicy jej pola, jej ziemi. Ziemia! Ziemia! Czarna tłusta, buraczana, Ziemia — koniec zielony. Ziemia! Ziemia...
— Będzie ziemia — dociera do niej już przez mgłę.
— Będzie ziemia — powtarzają jej usta i zagony czarne płyną do niej skibami, ogarniają ją, otulają łagodnie.
Długo ją musielić cucić. Potem dali pić. Jeden włożył do ręki bułkę z kiebasą. Jadła i ksztuśla się smakiem kiebasy, która przechodziła jej przez przełyk dużymi kęsami, bo nie miała czym jej pogryźć. Czula w sobie tę kiebasę i coraz jaśniej robiło jej się w głowie. Coraz jaśniej.
A potem, kiedy już „fajtakiem” wymierzili jej pole, kiedy postawiła trzy krzyżyki na papierze, powiedzieli:
— No, to niech wam się szczęści gospodynio, niech daje stokrotne plony.
Prosto od nich poleciała do księdza proboszcza, żeby przyszedł poświęcić pole, jej ziemię.

— Kobieto! Z diabłem się wiążesz — zawołał i ręce wyciągnął przeklinające. — Ty chcesz, żebym kradzione błogosławił?! Boga się nie boisz? Mało boskiej kary już cię spotkało? Niebo chcesz utracić dla kawałka ziemi, którą i tak odbiorą i zapędzą was wszystkich do kołchozu i niewolnicami uczynią. Kobieto, opamiętaj się!
Wtedy zacięła się. Bez słowa wróciła do chałupy. Wzięła butelkę z wodą i obeszła S W O J E P O L E modląc się i kropiąc wodą, którą na pewno sam Bóg pobłogosławił.

Skończywszy ten obrzęd stanęła twarzą do cmentarza, a potem legła na skibach, objęła swoją ziemię ramionami, całowała ją i szeptała do niej za wszystkich swoich pradziadków i ojców, i za Józka, za wszystkich, którzy nie doczekali.



RYS. J. SIENKIEWICZ

Korespondencje • Polemiki • Dyskusje

O kulturze przez duże „K”

„W naszym województwie — pisał Jan Grygiel w „Widnokręgu” z dnia 10 IX w artykule „Wykorzystać szansę” — ukazuje się 5 gazet zakładowych o łącznym nakładzie 25 tysięcy egzemplarzy. Liczbę tę należy natomiast mówiąc pomnożyć przez trzy razy tyle mniej lub bardziej wyrobionych czytelników. Gazety te istotnie więc „stanowią siłę, której lekceważyć nie wolno”.

Rola, znaczenie wychowawcze, ideologiczne i kulturowe gazet zakładowych omawiane było i dyskutowane wielokrotnie, w prasie centralnej i regionalnej, podczas spotkań redakcyjnych, organizowanych na szerszą skalę z różnych racji, choćby z okazji jubileusów. Wydaje się jednak, że nie wszystko zostało dotąd powiedziane i zrobione, co powinno być powiedziane i zrobione. Szczególnie dzisiaj nie wolno poprzestać zespołom redakcyjnym „zakładówek” na dawnym poziomie i w utartych, wypróbowanych ramach. Podkreśliło to zwłaszcza VIII Plenum KC PZPR.

Trzeba pamiętać, że dominującą rolę spełnia i będzie spełniać w gazetach zakładowych tematyka produkcji, techniki, racjonalizacji, popularyzacji przodujących ludzi i ciekawych osiągnięć, a więc tematyka najczęściej związana z jej naturalnym podłożem. To prawda. Ale najwyższy czas, by

przestały one być jedynie informatorem. Gazeta zakładowa nie może być hermetycznie zamknięta wokół spraw związanych z produkcją. Jej zadanie i przeznaczenie jest dzisiaj inne i szersze. Wyznaczono jej obecnie rolę wychowawczą i nauczycielską, dobrego wychowawcy i mądrego nauczyciela.

VIII Plenum KC podkreśliło ogromne znaczenie ideologicznej wymowy prasy zakładowej. Protokół ministra Janusza Hrynkiwicza będący jakby dalszym ciągiem reguluje stronę socjalną, a więc, co za tym idzie, rangę gazet. Np. redaktor naczelny zostaje w myśl tego protokołu postawiony na równi z kierownikiem wydawnictwa itd.

Jest to postęp i krok ogromny, świadczący, że nasza partia i rząd przychodzi z ogromną pomocą ludziom, na których spoczywa duża odpowiedzialność — wobec partii, wobec środowiska i wobec siebie. W związku z tym wypadka chyba przeliczyć wagę na właściwą obsadę redakcyjną tych gazet, by przecież nie tworzyli ich ludzie czasem przypadkowi, ze słowem pisany, językiem polskim i tą wielką odpowiedzialnością niewiele mający wspólnego.

„Socjalistyczne Tempo” dwutygodnik Huty „Stalowa Wola” otrzymał w artykule „Wykorzystać szansę” piękną rolę, co prawda z koleciami, ale

zawsze różną (najgorsze jest dla mnie milczenie). „ST” liczy sobie w tej chwili 16 lat. Wiele się w nim przez ten czas zmieniło. Na miejsce redaktorów odchodzących do innych funkcji, zjawili się nowi. Spośród redaktorów naczelnych pisma najwięcej dla niego uczynili Władysław Bobek, obecnie sekretarz KM PZPR w Stalowej Woli oraz Zbigniew Flaśka, obecnie dziennikarz „Nowin Rzeszowskich”.

„ST” jest przykładem pisma, które od pewnego czasu stale publikuje literaturę piękną, opowiadania, wiersze, wspomnienia. Przychylnie stanowisko ze strony władz huty pozwoliło z pewnością pozytywnie cechy gazety, wskazane przez J. Grygla, rozszerzyć na skalę, na jaką zasługują, dla dobra i samej gazety, i — co przecież jest najważniejsze — dla społeczeństwa.

Może warto by zwrócić większą uwagę na jeszcze szerszą współpracę gazet zakładowych z „Nowinami Rzeszowskimi”? Współpraca ta ograniczała się dotychczas do zbyt rzadkich spotkań.

Zielone światło dla spraw kultury przez duże „K” zostało w gazetach zakładowych zapalone. Tylko nie wiem, czy wszyscy je widzą, czy wszyscy chcą je widzieć.

HENRYK KAWIORSKI



Zgodzi się ze mną chyba każdy telewidz, że sobota i nieaziola — to właśnie te dwa dni tygodnia, które przeznaczamy ze szczególną przyjemnością na oglądanie telewizji. Bo to i w sobotę trzeba zrobić cotygodniowe ablucje całej rodziny, na co przy ciśnieniu wody w hydromopach rzeszowskich (czy to się aby tak nazywa?), trzeba poświęcić pół popołudnia i jeszcze pół nocy, a w niedzielę obowiązkowo nadziać kurczaka podrobami i zaatakować wartyby rodzinne ciężkostrawnym menu, co z kolei wymaga przygotowań przez tę resztę pół nocy co nam została z soboty i rannej połówki niedzieli. Przeto w sobotę łapiąc wodę do wanien, oglądamy sobie w przerwach naszych milusińskich ze srebrnego ekranu, a w niedzielę, z lekką baczką, co by ta się mogło przypalić, wykramamy momenty uwagi dla twórców świętecznego programu.

W tę sobotę rzecz mieliśmy z głowy — woda nienaturalnie buchnęła już we wcześniejszych godzinach wieczornych, przetośmy wskakiwali do wanien wymiennie i był straszliwy ruch; w niedzielę mogliśmy smażyć i piekarzyć dowolnie długo i nic nam się nie przypalało, bo nie było ani rusz powodu do opuszczenia kuchni.

Po co — zapyta ktoś może — ten długi wstęp? Ano po to, żeby nie wałnąć wprost, co ja sądzę o 7 godzinach sportu w niedzielne popołudnie, przetośmy przetrzymali nudnym Montherlantem i jeszcze nudniejszym symem swego ojca — czyli młodemu Fernandem. Miłośnicy sportu mogą mnie zatłuc nawet w którejś z ciasnych uliczek, rozstających szczerobliwie wokół mego domu i ciemnych jak wszystkie nocy bez gwiazd, którym przeżyję zadręga — ale ja swoje powiem, że się lekceważę zdrowy rozsądek, godziwy wypraczone i zasady programowania, nie szcząc przy tym ucale pokazanie reszcie jedynym spokojnym dzień w tygodniu, dzień do oglądania.

Puchar Europy i pila nożna chodzące parami — to zażył wiele dla człowieka nerwowego, który w dodatku jest kobietą i ze sportem ma tyle wspólnego, że lubi się ubierać sportowo i kiedyś dość boleśnie dał sobie wbić przypodatkowego gola w raczej wrażliwe miejsce. Toteż, kiedy na zakończenie niedzieli zawarczają motory w pierwszym dniu sześciodniówki — przysięgam sobie powiedzieć raz i po prostu, bez zwracania uwagi na listy, że od sportu to wara, lepiej se pisać o Edypach i kompleksie — co myślę o tej nawalnicy pić, tyćzek oraz stalowych rumałów. Krótkie, bo krótkie to samożadośćuczynienie, ale jakimże ja nożkautem powalić mogę tego, co zakłócił mi niedzielną sjęstę? Stare, polskie porzekadło, trawstające słynne „nec Hercules” obezwładnia wszak...

Przeto o „Edypie”, którego zagrał Holoubek, mając w Eichlerównie Jokastę zdolną przyprowadzić o kompleks: był początkiem sezonu teatralnego, był spektaklem, co zdolny

F. z cyklu „Materiały i dokumenty partii komunistycznych i robotniczych, KIW. s. 148, cena 7 zł.

Jan Mazurek, Marek Ruszkowski: ZYT-TO. PWRIL. s. 167, cena 15 zł. M. in. odmianny żyta i jego rejonizacja, nawożenie i uprawa roli pod tę roślinę, jej pielęgnowanie i choroby.

R. Paine Dutt: DOKĄD ZMIERZA JĄ CHINY?. Tłum. E. Danecka. KIW. s. 88, cena 3 zł. Autorem broszury jest znany działacz KP Wielkiej Brytanii, naczelny redaktor czasopisma „Labour Monthly”. O aktualnych sprawach CHRL. Stanowisku KP Wielkiej Brytanii w tej sprawie.

Jan Wojewnik: PROGRAMOWANIE INWESTYCJI W MORSKI PRZEMYSLE RYBNYM. Wyd. Morskie. s. 141, cena 18 zł. Biblioteka Techniki i Gospodarki Morskiej.

poruszyć skały, ale nie Leszka Gołińskiego w Trybunie Ludu, który to pisze, że nie wie, czemu „Edyp” właśnie ów sezon otworzył. A mnie się zawsze zdawało, że to łatwo wiedzieć, iż „Edyp” Sofoklesa nieco nam wyjaśnia i mroźkową niemożność i romantyczną tragedię, i próściutki fakt, iż sporo trzeba wiedzy o człowieku, żeby zaimponować mu ze sceny w dobre powszechnie głoszonego kryzysu teatru talentem dramaturga nie po wierzchu uczuć ludzkich się ślizgającego. Bo dość, zaprawdę, tych błyskotliwych kamufleży pustki etyczno-estetycznej, jaką oglądamy, bo dobrze sobie popatrzyć od czasu do czasu na filozoficzne arcydzieło, z którego warto zdjąć marmurki współczesne, by dojrzeć serce, myśl i rozrachunek z samym sobą. Co uczynił Sofokles w „Edypie” najgłębiej jak można było i co też tak odebrałam na przekór mówniowi u starociach.

Zaś napisawszy rzecz — zażenowałam się, iż pierwszy to raz zdarzyło wdać mi się w spory międzyrecenzencko-felietonowe, więc w przyszłości, by uniknąć zażenowania, obiecuje już tego nie czynić.

I już w telegraficznym skrócie pozwolić sobie zwrócić uwagę na ostatnie Kino Krótkich Filmów, 10 lat „Eureki” oraz na ostatnią Giełdę Piosenek. 10 lat „Eureki” wymaga z naszej strony uwagi i poażękowania za jej przemianą a nie przemądrzały ton, za popularny sposób ujęcia i przekazania naukowe światła i przekazywania naukowe myśli bez barokowej mowy. Jerzy Wunderlich wie jak się to robi!

Bolesław Michalek w Kinie Krótkich Filmów też wie — przeto raczy nas tu produkcją, która na uwagę zastępuje. I tak dostaliśmy nowego Borowczyka w pięknym opowiadaniu Guy de Maupassanta „Rosalie Prudent”, gdzie zażęży nas zaskokowa forma i odkrycie na nowo noweliste tyleż świetnego, co zakurzonego przez czas (te kontrasty bieli i czerni — to była sprawa, o której nie potrajfę milczeć!).

A KTT — a dyżurującego na etacie krytyka w „Giełdzie”, niechże choć publicznie pobłogosławią za jawiwole „po co nam to było”, za, wreszcie, polską mowę o tych rejonach wajemniczenia, gdzie nie może braknąć żadnego Polaka — czyli o piosence. Zniszczył bowiem te pięć niewinnych produkcji ku powszechnemu zadowoleniu. Żeby tak jeszcze zechciał kiedy zniszczyć samą ideę fizy pana Terpiłowskiego, że jest na co robić przetargi i żeby wylansował publicznie termin „festiwalu socjalistycznego” — użęłoby mi niepomierne.

KRYSTYNA

4 tomy o kobiecie

O kobiecie powiedziano i napisano już wszystko. Każdy wiek przynosił swój osąd na temat miejsca i roli kobiety i na wszystkich tych opiniach odciskało się piętno epoki. I oto u progu roku 2000 pojawia się dzieło, które stara się odpowiedzieć na pytanie: jaką drogę przebyła kobieta od początków uformowania się społeczeństw ludzkich aż do naszych dni? Jak zmieniały się warunki jej życia? Jak odniosła zwycięstwa i jakie spotkała ją klęski? Na pytania te odpowiada monumentalna „Światowa historia kobiety”, której trzy tomy ukazały się we Francji, pod redakcją profesora Sorbony Pierre Grimala. Autorami poszczególnych rozdziałów są znani historycy, socjologowie, filozofowie, pisarze. Tom IV, który ukazuje się wkrótce, traktuje o sytuacji kobiety na Wschodzie — w Azji, Oceanii, a także w obu Amerykach. „Kiedy mnie pytają — oświadczył prof. Grimal — w czym wyraża się jedność tego tak obszernej i tak różnorodnego dzieła, wyjaśniam, że jedność ta podobna jest do natury kobiety: jej niezliczone cechy tworzą jedną całość”.

Refleksje w związku z Dniami Folkloru Pogorza

Najpierw — szczerzy, serdeczny i niski ukłon przed adresem organizatorów imprezy w Bieczu. Chodzi mi zwłaszcza o drugi dzień, w którym na rynku bieckim odbyły się występy kapel i zespołów regionalnych, pieśni i tańca. Organizacja była sprawna, wszystko następowało po sobie punktualnie, w sumie widowisko interesujące. Najlepszym dowodem uznania był zresztą pełny rynek widzów, którzy blisko trzy godziny stali wśród cegieł i kamieni, wytrwale, aż do końca imprezy. No i te długotrwałe oklaski. I tutaj skromna uwaga. Czy nie lepiej takie widowisko wyszłoby w plenerze, na tle drzew, zieleni? Warto pomyśleć.

Na wiosnę br. była podobna impreza „Dni Pogorza Dynowskiego” w Dynowie. Z terminem „Pogorza Dynowskie” zgadzam się, chociaż w pierwszym rzędzie jest to pojęcie fizjograficzne. Ale region fizjograficzny można utożsamiać z kulturowym. Istnieje zbliżonych cech wiele.

A teraz pytanie: co mieli na myśli organizatorzy „Dni Pogorza”? Jaki teren czy region. Czy wzorem Dynowa „Pogorza Gorlickie”? Tak wynikałoby z pierwszego zdania w folderze z tej okazji wydanej, „Region nazywany dziś (podkreślenie moje) Pogorzem, położony w malowniczym paśmie Beskidu Niskiego (...)”. Wynikałoby z tego, że nastąpiła zmiana postawy działaczy z Gorlic i Gorlickami związanymi. Dotychczas przyznawali oni — trochę na siłę, że cała kraina na północ od Karpat, a na południe od koryta pra-Wisły, więc region doskonale wyodrębniony jest Pogorzem a nie Podgórzem. Gdyby Gorlickanie podchodzili do tego problemu od strony fizjograficznej, milczabym, jako że nie jestem ani geografem, ani przyrodnikiem. Ale rozpatrywali oni zagadnienie od strony kulturowej. A przecież folklor nie jest aspektem fizjograficznym.

Faktem jest, iż krainę na północ od Karpat, a na południe od koryta pra-

-Wisły, na zachód od Sanu i wschód od Białej już w XVI wieku nazywano Podgórzem. Nie w sensie fizjograficznym, ale kulturowym. Na początku XVII wieku wyszły słynne „Nowiny Podgórskie”, zawierające satyrę społeczną, których autorami byli poeci pochodzenia plebejskiego. K. Badecki, badacz prądu sowizdralskiego w naszej literaturze, też używa tylko terminu „Podgórze”. Pisarz miejski Łucycki w r. 1624 zapisał: „Tatarowie (zaszli) do nas na Podgórze, aż poza Krosno”. L. Jabłonowski i K. Chłędowski mówią tylko o Podgórzu, tak samo J. Widajewicz, S. Pigoń, P. Dąbkowski i wielu, wielu innych.

W folderze wymienia się szereg miejscowości. Wynika z tego wykazu, że organizatorzy Dni Pogorza ograniczają się do terenu mniej więcej na zachód od Wisłoki i na wschód od Białej, i że ten teren nazywają Pogorzem. Ja jeszcze dodałbym: Gorlickim. Analogicznie do Dynowskiego. I z tym można by się zgodzić.

Co więc w Bieczu robiły takie zespoły jak z Gaci, pow. Przeworski, oraz (zresztą doskonała) kapela WDK z Rzeszowa? A sąsiedzi wiedzą, że ta druga właściwie reprezentuje Staromieście z Trzebowniskiem. Krótko — Rzeszowskie. Do tego regionu jak najbardziej przynależy Gać. A zespół z Pustkowa? Mielecki?... Lasowiacki? Z kolei dalsze pytanie: Gdzie się podzielił tamtejszy, świetny zespół, chociażby taki z Gródka? Jak najbardziej pogorzański.

Repertuar, jaki zespoły przedstawiły, raczej nie budzi zastrzeżeń. Dobrze się stało, że jedne dają rzeczy całkiem surowe, inne stylizowane. Miałbym niejakie pretensje do konferansjera, naśladującego trochę sołtysa Kierdziółka. Może by tak znaleźć własny wyraz?

Największe pretensje mam jednak do strony kostiumologicznej. Zespoły

regionalne mogą wystąpić w strojach autentycznych, jak to zrobiła żeńska część zespołu gackiego, albo wiernie skopiowanych — co usiłuje robić zespół WDK — można ubrać zespół w stroje stylizowane (za przykładem chociażby Mazowsza), ale żadną miarą nie można pokazywać groteski. Naprawdę groteskowe — chociaż lniane — były skrócone do „mini” spódnice dziewcząt zespołu z Bobowej. Groteskowy dla mnie był zespół z Pustkowa, ubrany w strój... rzeszowski (!!!) i... czerwone, operetkowe buty. Jak XVII-wieczna szlachta.

W Bieczu, na scenie, czasami raził właśnie uniformizm w stroju. Tego zaś autentyczny strój ludowy nie znosił. Jeśli nawet wziąć pod uwagę sukmany rzeszowskie — a także i lasowiackie — które miały konwencjonalny krój, to jednak bardzo różniły się zdobinami. Również fantazyjna różnorodność przedstawiały podgórzańskie kamizelki, przy ogólnie biorąc podobnym kroju. To samo odnieść należy do kamizel tak rzeszowskich, jak i przeworskich.

Np. zespół bobowski nie tylko, że ubrał się w kamizelkę tak identyczną jak kurki wojskowe tej samej kompanii, bo jeszcze zapiął je tak samo jak kurki wojskowe, i tak samo przepasał je pasami, po wierzchu. Tymczasem pas powinien być na kszul, rozpięta kamizela winna zwinąć na pas, do jego połowy po linii poziomej. Że tak było a nie inaczej, mogę niewiernym udowodnić starymi rycinami i obrazami.

Pasami po wierzchu, bardzo podobnymi do wojskowych i po wierzchu, jak żołnierze, opasała się męska część zespołu z Gaci, zresztą doskonałe pod innymi względami. To także nie dobrze! Z zespołów ludowych nie można robić wojska, bo to wbrew ludowej konwencji. A też i dobrego smaku.

FRANCISZEK KOTULA

Anthony Berkeley: OMYŁKA SADOWA. Tłum. I. Szymańska. Iskry. s. 334, cena 25 zł. Klasyk powieści kryminalnej daje czytelnikowi podwójną zagadkę: czy można popełnić zbrodnię dla dobra innych i kto w końcu zabił piękną aktorkę.

Jerzy Bolesław Ordan: POZA RZECZY. Iskry. s. 36, cena 10 zł. Tomik wierszy (drug) poety zamieszkałego na Pomorzu. Liryka.

PROBLEMY RELIGII I LAICYZACJI. Podręcznik dla Studium Zagadnień Religijonaukowych KIW. s. 258, cena 14 zł. Zbiór artykułów składający się na podręcznik, przeznaczony jest głównie dla potrzeb szkolenia partyjnego. W aspekcie historycznym.

Jan Jakub Rousseau: PRZECHADZKI SAMOTNEGO MARZYCIELA. Tłum. M. Gniewiewska. Wstęp: Br. Baczkowski. Cytelnik. s. 196, cena 15 zł. „Dziś jest przechadzek” uzupełnionych jest „szkice”. To ostatnie dzieło wielkiego filozofa jest uzupełnieniem „Wyznań”. „Wyznania” mówią o życiu, a „Przechadzki” są refleksyjną zadumą nad własnym losem.

Robert Morris Page: POWSTANIE RADARU. Tłum. J. Auerbach. s. 151, cena 10 zł. Omega. Amerykański naukowiec, współtwórca pierwszego amerykańskiego radaru impulsowego. Historia narodzin i rozwoju tego wynalazku ukazuje zawiłość dróg prowadzących do odkryć naukowych, oraz trudności związane z ich wykorzystaniem.

XVIII ZJAZD FRANCUSKIEJ PARTII KOMUNISTYCZNEJ. 4-5 stycznia 1967

ców Śląskich, robotników i harcerzy z niemieckimi dywersantami, a następnie regularnymi oddziałami wojska. Ciekawe.

Eugeniusz Pauksta: PRZEJĄSNIA SIĘ NIEBO. T. I/II. Wyd. Poznańskie. s. 530 + 523, cena 75 zł. Pióno. Stwierdzenie wydana kolejna powieść o życiu starszych i młodych mieszkańców Nadodrza. Obyczajowa i współczesna. Reminiscencje do lat powojennych.

Ewa Przybylska: POPOŁUDNIA FAUNA. Wyd. Łódzkie, s. 223, cena 14 zł. On, mężczyzna prawie 50-letni, dwukrotny wdowiec, ona też ma za sobą bogate doświadczenia życiowe. Czy znajdują wspólny język... czy ułożą wspólne życie. Obyczajowe, współczesne i psychologiczne. Może nieco stroniące. Bo autorką jest kobieta. Ale przeczytać można.

Walery Aleksiejew: LUDZIE KAPITANA FLINTA. Tłum. H. Kłemińska. PIW. s. 95, cena 10 zł. 25-letni pisarz radziecki daje ciekawy obraz psychologiczny dwóch romantycznych chłopców, którzy w czasie wakacji udają się w daleką podróż wraz z zespołem geodezyjnym. A kto jest Flintem, bohaterem powieści Stevenson? Przeczytajmy.

Maksym Gorki: DZIECIŃSTWO WŚROD LUDZI, MOJE UNIWERSYTETY. Przeł. K. Biłska. PIW. Wyd. II. s. 724, cena 45 zł. W jednej książce wydana cała trylogia autobiograficzna znanego radzieckiego pisarza, autora „Matki”. Obraz Rosji przed, w czasie, i po rewolucji widziany oczyma dziecka i młodzieńca.



Władysław Gomułka: PRZEMOWIENIA. Lipiec 1964 — grudzień 1966. KIW. s. 602, cena 14 zł.

Marian Romek: PRZED I PO MAJU. T. I/II. MON. s. 384 + 458, cena 60 zł. Chodzi oczywiście o znany przewrót majowy z 1926 roku. Jest to literatura obrachunkowa; były wysoki oficer Sztabu Głównego przedrewolucyjnego WP ujawnia prawdy o rzeczywistych przyczynach tragicznego Września 1939 roku. Ciekawy tok akcji, potoczny język.

Włodzimierz T. Kowalski: WALKA DYPLMATYCZNA O MIEJSCE POLSKI W EUROPIE (1939 — 1945). Wyd. II rozszerzone. KIW. s. 798, cena 80 zł. Pierwsze wydanie (1966) uznano za bestseller literatury politycznej. Wąski fragment historii lat wojny, na który składają się pertraktacje dyplomatyczne, konferencje międzynarodowe oraz określone decyzje polityczne, które w końcowym efekcie ustaliły miejsce Polski we współczesnej Europie. Ciekawe ilustracje.

Wilhelm Szewczyk: PTAKI PTAKOM. MON. s. 236, cena 12 zł. Zbeletyzowana forma przedstawienia autentycznych wydarzeń z września 1939 roku na Górnym Śląsku. O walce byłych powstań-

Na naszym ekranie

Audrey Hepburn

Krytycy filmowi wykrzywiają się na „Sabrinę”, fałszywą bajkę o wspólnym Kopciuszku odnajdującym swego księcia. Nie można odmówić im słuszności, a jednak film ten warto obejrzeć choćby tylko dla grających w nim aktorów, wchodzących w skład hollywoodzkiej czołówki gwiazd. Dwa tygodnie temu przypominałem na tym miejscu niezjącego już Humphreya Bogarta. Dziś chcę napisać o jego partnerce z „Sabriny” Audrey Hepburn, będącej wyjątkowym zjawiskiem w świecie filmu.

Hepburn urodziła się w 1929 roku w Belgii, w Arnheim, uczęszczała jednak do szkoły w Anglii i w Anglii rozpoczęła tuż po wojnie karierę modelki, tancerki i aktorki, przy czym początki nie wróżyły późniejszych sukcesów. Szczupła, wysoka aktorka była zaprzeczeniem powojennej mody na „dziewczyzną męskich ma-

ny sukces, Audrey ze sceny znów trafiła przed kamery i po „Rzymskich wakacjach” rozpoczęła triumfalny marsz po ekranach.

„Sabrina” nie była w nim zresztą najbardziej „fanfarowym” momentem. Przecież ukrótce potem była „Miłość po południu” z Gary Cooperem, a potem rola Nataszy w tolstojowskiej „Wojnie i pokoju” w reżyserii Kinga Vidora. U nas, w Polsce, widzieliśmy jeszcze potem Audrey Hepburn w „Zabawnej buzi”, w USA jednak odnosiła ponadto sukcesy na scenie w „Ondine” Giradoux i na ekranie w „Historii zakonnicy”, „Śniadaniu u Tiffany’ego” (krytycy amerykańscy przyznali jej za ten film nagrodę dla najlepszej aktorki 1961 roku) w „My Fair Lady” — i innych filmach.

Oglądając Hepburn w „Sabrinie” widzimy młodzieńką, naiwną dziewczynę, lubimy ją za ten dziewczęcy wiotki, za to, że jest taka krucha, wiotka, tak potrzebująca opieki i czułości. Ten obraz stworzony przez aktorkę w wielu filmach świadczy o jej talencie, o sile przekonywania i panowania nad widzem. Nie jest bowiem prawdą, że Audrey grała w tych rolach tylko samą siebie. W życiu jest ona znacznie bardziej stanowcza, samodzielna i zaradna niż jej filmowe bohaterki. Kiedy jej chłopiec niechętnym okiem patrzył na hollywoodzkie poczynania aktorki, pewnego dnia dostał list, zaczynający się wprawdzie od słów: „Drogi Jimie” ale zakończony sakramentalnym niemal zwrotem: „Wierzę, że pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi”. Jima zastąpił po pewnym czasie Mel Ferrer. Audrey zobaczyła go w filmie „Lili” i zaraz po seansie oświadczyła przyjaciółce: „Wydaje za mąż za tego człowieka”. Nie były to słowa żartowniarskie. Wkrótce Ferrer poznał Audrey, pokochał ją, rozszedł się z żoną i w 1954 roku młoda para wzięła ślub w Szwajcarii, gdzie mieszka do tej pory w przerwach między filmami. Hepburn jest równie wytrwała w interesach. — To nie jest figurka z porcelany, to kobieta ze stali — powiedział o niej człowiek, który omawiał z nią finansowe sprawy w związku z filmem „My Fair Lady”. Audrey była uprzejma, miła, promienna i urocza, ale wydebiła od niego milion dolarów (przedtem tylko Liz Taylor za „Kleopatrę” wzięła wyższe honorarium). A jeszcze tak niedawno za swoją pierwszą rolę w „Szajce z Lawendowego Wzgórza” zarobiła... 300 dolarów.

Pozostawmy jednak sprawy osobiste aktorki na boku. Ukoronowaniem jej kariery artystycznej i wieloletnich marzeń była rola Elizy Doolittle w ekranizacji „My Fair Lady”. W filmie tym po raz drugi Audrey (pierwszy raz uczyniła to w „Śniadaniu u Tiffany’ego”) zrywała z dotychczasową konwencją swoich filmowych kreacji. Eliza, to dziewczyna z ludu, wie ona co to głód i brud, przesza niejedno, ale potrafi doskonale znaleźć się w roli wielkiej, eleganckiej damy, jaka jej przypadła w udziale.

A zatem Audrey przestaje być jedynie słodkim, naiwnym i delikatnym dziewczęciem, sięga po role inne, bardziej plastyczne i bliższe rzeczywistości. Czy w nich spódy się nam bardziej? Czy powstrzyma swoje amerykańskie sukcesy? Czy też pozostanie dla nas niezapomnianą — zakochaną dziewczyną z „Rzymskich wakacji”, „Wojny i pokoju” lub „Miłości po południu”?

(sz)

WIDNOKRĄG odpowiada

Ch. J. — Mielec: Niestety, wiersze nie mają wartości artystycznych. Są naiwne, ubogie w środki wyrazu artystycznego, z błędami gramatycznymi i językowymi. Nie skorzystamy.

M. M. — Dobrzechów: Czytał pan chyba sporo współczesnych wierszy, ale korzyść stąd nieduża. W próbach poetyckich, które otrzymaliśmy jest wiele udułnień, wiele programowego niezrozumiałstwa, natomiast brak liryzmu, konstrukcji i sensu. Np. „Z tej walki głuchej/pole nieprzytomne czerwienia// nabite nie woła nikogo //Stać poczyna prostego urodzenia// Na polu dziewczyna //z niczego błada// //widokiem woła// opuszczonych żuraw”. Nie warto chyba się łudzić, iż na tym polu osiągnie pan jakieś sukcesy.

E. W. — Bytom: Niestety, nie skorzystamy z pańskiego lirycznego opisu miasteczka Rzechów. Gdyby pan poruszał w tym artykule jakiś problem, jakiegoś istotnego zagadnienia, mogliśmy opublikować. Wiersz jest zbyt rozgadany, za dużo w nim wielosłowa. Może dlatego, że wiersz nosi tytuł „Słowa”. Pisz pan: „Nie-



ZDZISŁAW BEKSIŃSKI — artysta plastyk.

RYS. J. SIENKIEWICZ

Kalman Segal

Oberża

Od jednej oberży do drugiej. To samo słodkie wino, lecz inne puchary. Inne dzbany i szklance.

W każdej oberży inne kobiety. Całujemy je tak jakby pocałunkiem można było rozpoznać duszę doskonałą. Potem odchodzimy ku lepszym, lepsi przychodzą za nami.

Odległość między oberżami rośnie. Słabniemy i z żalem patrzmy za siebie.

Na klęczkach usiłujemy dowiec się do ostatniej karczmy, w której rzekomo ktoś na nas czeka.

Wyciągamy ramiona przed siebie i w górę. Jaka szkoda, że to już tak blisko.

Proch osiada na naszych śladach, lecz pustka, jaka po nas zostaje, jest niezmierną i wieczną. Nie wypełni jej żadne mauzoleum. Nawet tak duże, jak piramida Cheopsa.

„Język filmu”

Nakładem czechosłowackiego wydawnictwa „Orbis” ukazała się książka Jerzego Płazewskiego pt. „Język filmu”. Autorem czeskiego przekładu jest Zdenek Smejkal. W obszernym posłowie najwybitniejszy filmolog czeski Jan Kuczera pisze: „Język filmu” jest pierwszym usystematyzowanym poglądem na anatomię filmu z punktu widzenia widza, o wiele lepiej zorganizowanym, bardziej jednolitym, ideowo słuszniejszym niż prace Francuzów, np. Mi-try’ego.

uchwytnie, ładne lub brzydkie//Kochane, miłe słuchane lub nie//Mowa jest taka, jaka myśl, jakie słowa//Dobrane, serdeczne, lubiane, mądre lub naiwne//Itd. Stanowczo tu za dużo słów bez ładunku emocjonalnego.

„Czytelnik”: Z tomu pańskiego listu wnioskujemy mimo zastrzeżeń, że jednak „Widnokrąg” pana interesuje i to mocno. Widać, że pan jest osobiście zaangażowany w sprawę odpowiedzi działu poezji.

R. K. — Rzeszów: Ma pan rację, że wiersz nie musi być rymowany, by był dobrym wierszem. Ale pańskie wiersze, niestety, nie są dobre. Wydaje mi się, iż brak panu wyobraźni i umiejętności konstruowania utworu. Dużo w tych tekstach nieporadności i złego smaku. Występuje w nich nadmiar pojęć abstrakcyjnych odbierających wierszom obrazowość i konkretność. Np. konsolidacja, interpretuje, emituje, ewolucja, konstelacja itd. Nie możemy pana zachęcać do twórczości poetyckiej, gdyż nie widzimy powodu.

Zdarzenia tygodnia

21 bm. w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie odbyła się uroczystość otwarcia wystawy pt. „Geologia Księżyca”, przygotowana przez Muzeum Ziemi PAN w Warszawie.

Eksponacja ukazuje wyniki badań i zestaw zdjęć, wykonanych podczas lotów kosmicznych i sond księżycowych: „Luna-9”, „Ranger 8” i „Surveyor 3”. Wystawiono również wybór prac poświęconych geologii Księżyca.

Zespół Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Kacperek” wystawia obecnie na terenie województwa „Rusiana i Ludmiłę” A. Puszkina, w adaptacji scenicznej M. Siedmiograj. Sztukę przygotowaną z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej oraz z myślą o udziale w festiwalu sztuk dziecięcych teatrów lalkowych, który odbędzie się w br. w Łodzi. Przygotowują się do wystawienia „Rusiana i Ludmiłę” w miastach przed wszystkim o młodzieży klas licealnych (sektura).

Reżyseria — Stefan Siojakowski, scenografia Jerzego Szymańskiego, muzyka Zbigniew Jezewski.

Z cyklem imprez, poświęconych popularyzacji zasad zapobiegania pożarom występuje na terenie naszego województwa zespół estradowy, w którym udział biorą: Barbara Dunin, Zbigniew Kurtycz, Grażyna Czarnecka, Maryla Pawłowska, Jan Gałązka oraz zespół muzyczny „Czarne Koty” pod kierownictwem Piotra Kota. Całość przygotował oraz prowadzi konferansjerka Wiesław Wierusz - Kowalski. Przeciwpozarnczy program obejmował już mieszkańcy Gorlic, Sanoka, Krosna, Sarzyny, Debicy, Rzeszowa, Przemysła, Mielca i Tarnobrzega.

Z programem on. „Zapobiegajcie pożarom — dzwonić 08” (tematyka podobna jak wyżej) występuje również zespół etatowy rzeszowskiej „Estrady”. W programie zgaduj-zgadula, monologi, skecze, humor i parodie. Program przygotował Ryszard Wojciechowski.

Odbyło się posiedzenie Komisji Oświaty i Kultury WK ZSL w Rzeszowie, poświęcone omówieniu działalności klubów wiejskich.

Podczas dyskusji postulowano przede wszystkim uczestnictwo w realizacji zadań programowych klubów, instytucji oświatowych i kulturalnych oraz placówek zawodowych. Wiele uwagi poświęcono również sprawie przygotowania ośrodków życia kulturalnego na wstępnym sezonie pracy kulturalno-oświatowej.

21 września odbyła się w Rzeszowie, zorganizowana przez Zarząd Okręgu Związku OSP i Zjednoczenie Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych narada kierowników orkiestr dętych. Przeprowadzone zajęła instruktażowe oraz omówiono sprawy organizacyjne wojewódzkiego przedsiadania strażackich orkiestr dętych oraz zadania na rok 1966. Wynikające z przygotowań do I Ogólnopolskiego Festiwalu Orkiestr Strażackich.

KIM ZACHWYCAŁ SIĘ MŁODY BACH? W komentarzu pt. „Na marginesie artystycznego wydarzenia” (Widnokrąg nr 38) zabawnie zostało przekształcone nazwisko wielkiego poprzemka Jana Sebastiana Bacha. Ow niemiecki kompozytor — wirtuoz, którym zachwycał się młody Bach i przemierzył pieśzo szmat drogi, by posłuchać jego gry na organach, nazywał się Dietrich B u x t e h u d e. Melomanów przepraszam i kłania się **CHOCHLIK**

zeń”. Królowały wówczas pin up girls typu Jane Russel, Marilyn Monroe — o pełnych kształtach i imponujących biustach. A Audrey? Kiedy William Wyler reżyserował film, który otworzył jej drogę do sławy — „Rzymskie wakacje”, zmartwiony wrócił się do garderobianej:

— Kochana, niech pani wsadzi dykretnie w sukienki tej dziewczyny rochę „Falsies” (gumowe podkładki na wysokości piersi — red.), przecież o ma być panna, a nie dziecko.

Na to garderobiana:

— Panie reżyserze, one są już wszędzie wszędzie!

Nie mógł przewidzieć rutynowany śmowiec, że ta chuda dziewczyna zturnem zdobędzie serca milionów widzów, że jej wiotka, zwiewna figura, duże, błyszczące oczy i przemyślnie zmiekcza najbardziej zatwardziały antyfeminiści, ba, zyskała z uznaniem i popularnością wśród żeńskiej połowy naszego świata, znykłe zardrosnej o dziewczynę z ekranu i nie oszczędzając im krytycznych uwag. „Rzymskie wakacje” odniosły duży sukces, wędrując po ekranach, Audrey Hepburn przyniosły zaś nagrodę Oscara i otworzyły drogę do oszalańczonej kariery.

Nim wymienimy jednak jej sukcesy, warto cojnąć się nieco w przeszłość, nad Lazurowe Wybrzeże, gdzie początkująca aktorka znalazła się na dźwiękach angielskiego filmu „Monte Carlo Baby”. Była to jej druga rola filmowa. Audrey grała młodzieńką neżatkę znajdującą się w podróży oślubnej. Zdjęciom, przed jednym z eleganckich hoteli, przyglądała się grupa wypoczywających w nim osób. Kiedy kamery umilkły, kiedy zgasły reflektory, z grona tych osób wyciągnęła się w stronę Audrey ręka starzej, siwowłosej pani i rozległ się głos:

— Voila — Gigi!

Starszą panią była popularna pisarka francuska Colette, a słowa jej przesądziły o dalszym losie Audrey Hepburn. Colette poszukiwała własnej odtwórczyni głównej roli do wystawianej w USA scenicznej wersji jej książki „Gigi” i okazało się, że Audrey najbardziej odpowiada wyobrażeniom pisarki o tej postaci.

Zaczęły się dni ciężkiej pracy. Dwa miesiące trwały czternastogodzinne próby do „Gigi”, nocami Hepburn uczyła się aktorstwa i poprawnej wymowy, gdyż jej angielszczyzna była daleka od nowojorskich idealów tego języka. Reżyser i producent raz po raz domagali się zwolnienia jej z pracy, przekonani o nieodwołalnej kłapie przedstawienia.

Colette miała jednak dobre oko. „Gigi” odniosła na Broadwayu ogrom-



Stefan Żółtowski, Halina Michałewska, Janina Wierzbicka i Andrzej Sidorów — w scenie z I aktu spektaklu „Ta trzecia”, opartego na noweli Henryka Sienkiewicza. Przedstawienie to zainaugurowało sezon jesienny Teatru „Fredreum” w Przemysłu — najstarszej sceny amatorskiej w Polsce. Fot. MIECZYSLAW NYCZEK